

Niebezpieczeństwo absolutyzmu w Galicji.



Potrzeba na to wstrząśnięcia od podstaw, doszczętnego przetworzenia ustroju, zasadniczej zmiany psychologii społecznej wszystkich warstw, by takie idee jak demokra-

tyzm, konstytucjonizm, republikanizm zdołały zachwycić trwałego gruntu, zagnieździć się w danym społeczeństwie, utrwalić na pewne swój byt. Tak stało się we Francji.

W Austrii, gdzie epoka przewrotów konstytucyjnych zaznaczyła się nie zwycięstwem ludu, lecz ustępstwami rządu, gdzie w chwili wykwitania pierwszych pączków wolności tem srożej szalała w Wiedniu reakcja, upadał na krwawych polach Węgier skoszony kwiat marzeń o samodzielności, a Galicja przeżywała dni rzezi, bombardacji i stanów wyjątkowych, — w Austrii wprowadzenie ustroju konstytucyjnego nie było równoznaczne ze zgonem absolutyzmu. Duch absolutyzmu cofał się tylko w opajęczale zacisza biur i urzędów, przemawiał ustami niezłamanego dotąd biurokratyzmu i centralizmu, czał się i pokryjomu podgryzał korzeń nowego ustroju, czał się i straszy do dziś.

Tak długo madziaroni *) chybotali gałęzią swobód chorwackich, póki jdy nie ułamali i nie sprowadzili Cuvaja; tak długo biurokracja wiedeńska szyla na kanwie wazni niemiecko-czeskiej swój ponury haft, tak długo i wytrwale żywiła obstrukcję niemiec-

ką w Sejmie czeskim, póki nie udało się kraju pozbawić autonomji, po raz pierwszy od doby nowego ustroju w Austrii.

W dniach powszechnego upadku ekonomicznego, ruiny gospodarczej Austrii, w epoce zamętu i niebezpiecznych ścierań się rozlicznych prądów, gdy nowe zapędy militarystyczne spychają wszystkie inne troski w szary kąt, ów zamach na autonomję krajów przyniósł z sobą obawę, że stać się on może hasłem do nowych prób absolutystycznych, a grunt więcej niż podatny znaleźć gotów przedewszystkiem w Galicji.

Galicja od początku swego przyłączenia do monarchji austriacko-węgierskiej była widownią najszaleńszych wybryków reakcji, eldoradem Stadionów i Preclczków, krajem próbnym zawieszenia konstytucji i wprowadzenia stanów wyjątkowych. W żadnym też kraju może nie było tyle krwawych wyborów, „regulowanych” bagnetem, co w Galicji. Przysłowiowa nędza Galicyjska sprawia, że jest to teren nierzadkich rozruchów głodowych i agrarnych.

Szczególnie zaś ostatnie lata złożyły się na stan, który spycha Galicję coraz bliżej nad brzeg przepaści. Od kilkunastu lat spór polsko-rusiński trawi kraj i pozbawia społeczeństwo najlepszych sił żywotnych, doprowadzając roznamietnienie do zenitu, hamując normalny bieg spraw krajowych, głu- sząc wszelkie starania o podniesienie stanu ekonomiczno-oświatowego. Uniwersytet przemienił się z wyższej uczelni na teren bratobójczych walk, szkoły stają się bardziej placówkami politycznymi, niż oświatowymi,

*) „Madziaroni“ — są to Chorwaci, uprawiający politykę madziaryzowaną.

Sejm nie jest już więcej instytucją opiekunczą kraju, mądrym rządem gospodarstwa krajowego, kuźnicą dobrobytu i usamodzielnienia przemysłowego w Galicji, lecz miejscem, skąd wieje anarchja, gdzie rodzą się pierwiastki, zdolne jak najłatwiej sprzymierzyć się z czyhającym absolutyzmem.

W r. 1911 urodzaje, szczególnie w Galicji wschodniej nie dopisały zupełnie; straty zwłaszcza w pewnych gatunkach jarzyn i sianokosach były milionowe. Z powodu obstrukcji rusińskiej nie można było pomyśleć w r. 1912 o normalnej gospodarce finansowej krajem, skutkiem czego ucierpiał cały szereg instytucji, subwencjonowanych przez sejm, przedewszystkiem zaś szkolnictwo i sprawa nauczycielska. Z powodu złej zewnętrznej gospodarki zjawilo się również groźne przesilenie finansowe w Towarzystwie szkoły Ludowej, tak że i szkolnictwo prywatne nie jest dziś w stanie zaradzić najbardziej nawet piekącym potrzebom. Wślad zatem przyszła ekonomiczna ruina kraju z powodu restrykcji kredytu przemysłowo-budowlanego z polecenia sekretarza Banku austro-węgierskiego, Prangera. Szerokie warstwy urzędnicze, pozbawione dotąd skutkiem trudności parlamentarnych pragmatyki służbowej i systemizacji plac, zubożały jeszcze bardziej skutkiem zupełnego zamknięcia kredytu konsumpcyjnego. Nadeszły ostatnio niszczące wylewy i powodzie, które dopełniły miary klęski. Tylko patrzeć a zacznie się głód przeokropny wśród siedmio milionowej rzeszy chłopskiej i robotniczej, głód któremu nie szybko i skutecznie nie zaradzi.

W tym opłakanym stanie prawidłowe funkcjonowanie Sejmu i jaknajszersza planowa akcja ratunkowa jest równoznaczna z warunkiem zachowania autonomji.

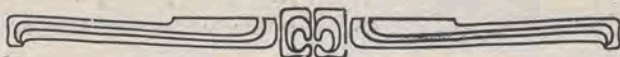
Tymczasem wbrew optymistycznym pogłoskom prawidłowe funkcjonowanie sejmu a nawet zwołanie jego jest bardzo problematyczne. Spór o ordynację sejmową wyborczą jest prawie że beznadziejny. Coraz jaskrawiej staje się widoczne, że stronnictwa, które odnoszą się do sprawy reformy opozycyjnie, zasłaniają się tylko względami narodowymi a walczą w istocie w imię antydemokratyzacji Sejmu. Rusini zmuszeni są stać na stanowisku nieprzejednanem już nie tylko we

własnym interesie narodowym ale i w obrobie interesu demokratycznego, który w społeczeństwie rusińskim ze względu na jego strukturę historyczną jest interesem wspólnym i dominującym. Pogrożka jednego z przywódców rusińskich, iż w razie niedojścia do skutku projektu kompromisowego reformy wyborczej, staną na stanowisku czteroprzymiotnikowego prawa głosowania, nie jest frazesem, lecz wynika istotnie z *par excellence* demokratycznego usposobienia Rusinów, u których niema warstw konserwatywnych.

Naodwrot zaś polska opozycja przeciw reformie składa się z tych stronnictw, które w interesie klasowym zwalczają demokratyzm; w sojuszu z nimi idą narodowi demokraci, których ideologia nacjonalistyczna z natury rzeczy musi mieszczaństwo wstrzymywać od hołdowania demokratyzmowi. Sytuacja więc układa się tak, że stosunki w Galicji upodabniają się coraz więcej do czeskich. Z chwilą, kiedy się ujawni, iż sprawa reformy wyborczej nie będzie mogła być załatwiona w łonie stronnictw krajowych, tylko z ramienia rządu drogą rozporządzenia, lub z chwilą, gdy stronnictwa opozycyjne będą się starały przeforsować własny projekt, nie bacząc na groźbę dalszej, tem usilniejszej obstrukcji Rusinów,—staje się zupełnie jasnem, że rząd wiedeński nie tylko zechce ale będzie zmuszony zasystować wzorem Czech autonomję galicyjską, by umożliwić te czynności nieodzowne, które w chwilach normalnych należą do atrybucji Sejmu i Wydziału Krajowego: gospodarka finansowa.

Z możliwością niedalekiego panowania absolutyzmu w Galicji liczą się już dość jawnie zwłaszcza stronnictwa konserwatywne i myśl ta nie jest im... nieprzyjemną. Jest to rzecz groźna i może mieć nieobliczalne ustępstwa. Kto się wczuwa dobrze w wewnętrzny nastrój społeczeństwa galicyjskiego, wie o tem dobrze, że zawieszenie autonomji a nawet przedłużanie obecnej anarchji gotowe się stać zarzewiem o wiele poważniejszej burzy, aniżeli przypuszczają nawet ci, co z tak lekkim sercem podają rękę widmu absolutyzmu.

Bolesław Bourdon.





G. Segantini.

Przy studni alpejskiej.

Giovanni Segantini.

Trudno w współczesnych Włoszech dopa-
trzeć się artysty tej miary, co Segantini.

Wielkość i wartość artysty objawia się naj-
wyraźniej w stosunku jego do natury. Twórczość
Segantini, to objawienie niesłychanej dobroci,
ewangelicznej miłości dla ludzi, zwierząt i ro-
ślin, wyrażonej genialnymi środkami malarski-
mi, tak prostymi, jak prostą była dusza tego
górala z północnej Lombardji.

„Gdy chciałem ulżyć boleści rodzicom, —
powiada Segantini, — po stracie dziecka, namalo-
wałem obraz „W wierze pociecha“; aby uświę-
cić związek dwu serc, namalowałem „Miłość
u źródła życia“, aby wyrazić błogość macierzyń-
skiego uczucia, stworzyłem „Anioła życia“. Gdy
zaś chciałem napiętnować rozpustę żyjących
w bezpłodności kobiet i przyczynę wszelkiego
zła, namalowałem „Próżność“.

Pragnąc by ludzie kochali dobre zwierzęta
za to, iż otrzymują od nich mleko, mięso i fu-
fra namalowałem obrazy „Dwie matki“ i „Konia
przy pługu“.

Malowałem pracę i chwile spoczynku po
pracy, czyniłem to z gorącym ukochaniem poczi-
wych zwierząt i z sercem pełnym litości“.

Słowa Segantini brzmią, niby ustęp ka-
zania św. Franciszka z Assyżu, który również
kochał zwierzęta, rośliny i przyrodę, jako dzieci
tego samego Twórcy.

Zakonnik mistyk i artysta realista po wie-
kach tylu łączą się w wzajemnym uścisku świat
cały obejmującym.

Segantini wyczuwa duszę krajobrazu w swoim
głębokim rozmodleniu się nad pięknem i bytem
przyrody.

Tryptyk krajobrazowy zatytułowany „Być,
Trwać i Zniszczyć“, wyraża panteistyczną łącz-
ność człowieka z wszechświatem i nadaje dziełu

temu jakieś głębokie
religijne piętno, wy-
rażone nie personi-
fikacją liturgiczną,
lub mętym symbo-
lem, lecz fizyczną
treścią.

Giovanni Segan-
tini był dzieckiem
gór, wśród których
urodził się żył, by w
środku świstu halnych
wichrów umrzeć.

Miłość dla zwie-
rząt ujawnia się w
wyższym stopniu w
drugiej połowie jego
twórczości i spra-
wia, iż stał się naj-
lepszym włoskim ma-
larzem zwierząt.

Segantini dozwia-



G. Segantini.

Pojenie wołów.



G. Segantini przed swym obrazem, p. t. „Śmierć”.

la nam patrzeć prosto w słońce, które ześlizguje się po lubieżnych falach jeziora i wełnie owiec, wsączającej i rozczepiającej jego promienie, w przedziwnie łagodny sposób.

Segantini był twórcą nowej techniki malarzkiej kreskowej, która polega na umiejętnym kładzeniu kresek układanych z grubych warstw farby.

Obrazy tą techniką wykonane, dają wrażenie zespolone tylko z pewnej perspektywicznej odległości.

Segantini malował prawie że wyłącznie krajobrazy w obliczu wspaniałej przyrody alpejskich szczytów, w pracach tych, technika kreskowa umiejętnie dla artystycznych celów wyzyskana była pożyteczną, gdyż pozwala tworzyć przepiękne akordy światłocienia, mocne i przesycone barwą.

Dzieła Segantiniego przyniosły sławę sztuce odrodzonej Italji, ubogiej obecnie w talenty, godne sąsiedzwa wielkich mistrzów Odrodzenia.

Segantini, którego czci i uwielbia razem z Włochami świat cały, wywalczył nowe wartości sztuce, odkrywając tajemniczy, metafizyczny urok życia alpejskiej przyrody.

Marjan Dienstl.



Echa ze wsi.

Wszystko zmieniano z biegiem czasu, zwłaszcza, gdy jak w obecnym wieku pary, elektryczności i benzyny, czas ten bieży siedmiomilowymi postępu butami, mierząc przebytą bezkresu drogę. Zmieniły się więc znacznie i echa, które jeszcze lat temu kilkanaście w ciszy się wiejskiej rozlegały. Jeszcze tam, kiedy uciszą się już dzienne gwary, słysząc wieczorem na psznym łanie przepiórki i głośnie nawoływanie derkacza, ale w dzień biały kiedy wyjadą w pole żniwiarki, turkot ich zagłusza nawet i ptactwo polne, a świst lokomobili i huk cepów młockarni tłumi całkiem wesół śpiew mazowieckiej dziewczyny, nie mogącej odwyknąć dotąd jeszcze od matecznej piosenki, którą sobie przy pracy zawodzi.

Na horyzoncie sielskim obok wieży kościelnej, co kryje się jakoś nieśmiało gdzieś w topoli wyniosłych wianku, strzela za to teraz ku niebu dumnie a hardo komin niedalekiej cukrowni, czy krochmalni — ku któremu zwracają się pobożne westchnienia, o zaliczkę, tak jak dawniej w stronę kościoła, szły pobożne modły o pogodę w czas słoty i o deszcz podczas posuchy.

Gospodarz zreformował obecnie zmianowanie swych pól, przeznaczając lwia ich część na



G. Segantini.

Pojenie wołów.

okopowe, których treść pożera ten fabryczny moloch, a które posadzone na drenach, nie tak znów bardzo obawiają się zmian atmosferycznych, byle dobrze koło nich się krzątać.

Statystyka wykazuje, że $\frac{5}{12}$ przestrzeni ornej w Królestwie obsadzone jest kartoflami, tak, że nawet prześcignęliśmy już pod tym względem przysłowiowych kartoflarzy-niemców, którzy obsadzają nimi zaledwie $\frac{1}{16}$ część arealu.

Kultura jednak nasza rolna nie postępuje tak szybkim tempem, w jakim wzrastają ceny ziemi, ogarniając nawet najzapadłejsze już kąty i powodując prawdziwą wędrówkę ludów. To, co przez lat setki stanowiło więc z natury rzeczy i przeznaczenia „nieruchomą” własność ziemiańskich rodów, z dziada pradziada i przechodziło na potomków jedynie prawem spadku czy podziału, nie mając często ustalonej hypotecznie ceny, dzisiaj, pod wpływem szalonego pokupu na ziemię, stało się jakby giełdowym motorem, przesuającym się z rąk do rąk nie raz parę nawet razy do roku i nadającym też własności ziemskiej cechy giełdowej spekulacji, w której tymczasowość i szczęśliwy traf jedynie bogaci i rujnuje często ludzi bez pracy i zabiegów, nieodłącznych od życia zwykłego śmiertelnika.

To też obecnie na wsi zwykle „Dziedzic tymczasowy” i „robotnik sezonowy” naturalnym jest zjawiskiem a pomimo koniecznej intensywności gospodarki rolnej, którą trzeba prowadzić nakładowo dla wyciągnięcia wysokiej renty, z drogo zapłaconego morga — wszędzie przebija się tymczasowość i niezapuszczanie w nim korzeni na głębszą metę, ale widnieje natomiast chęć odlotu, po zwekslowaniu obecnej fortuny gdzieś znów dla ujęcia lepszego interesu przez handel ziemią.

Słabnie przytem zainteresowanie się sprawami społecznymi, troska o byt służby, oświata ludowa i t. d., ustępując miejsca korespondencji z pośrednikami do parcelacji, a odwiedzania różnych agentów i faktorów kupna i sprzedaży, zastępują wizyty sąsiedzkie i dawne huczne w zapusty zjazdy.

Podniesiona też z wielkiem uznaniem przed kilku laty sprawa wzajemnej pomocy urzędników gospodarczych, którą winni popierać pracodawcy, zamiast rozwinąć się w całym kraju w wielką, wszystko ogarniającą instytucję, wlecze się kulawo, w kilkunastu zaledwie oddziałach, podczas gdy kraj cały potrzebuje przecież gwałtownie uświadomionych fachowo i społecznie pomocników gospodarczych, jeżeli przyszłość jego ma iść ciągle po linii dodatniego rozwoju i nie cofnąć się, jak armja pozbawiona inteligentnych podoficerów!!

— Ale, mój Panie, daj mi też pan święty spokój z jakimś tam ekonomskim stowarzyszeniem, kiedy ja tutaj, jak na popasie siedzę. Zapłaciłem za Wólkę po pięć tysięcy a dają mi teraz już po osiem — żaden ekonom przecie procentu mi od takiej sumy nie wygospodaruje, choćby nawet u samego Wyganowskiego praktykował! Sprzedam więc moją habinę, jak mi

tylko jeszcze ze dwie setki na włóce postąpią i jadę w kowieńskie, bo tam jeszcze interes zrobić można!!!

— Zresztą — powiada pan Józef, powaga całej okolicy, — my tutaj mamy za małe gospodarstwa, abyśmy mogli trzymać oficjalistów, mogących jeździć na jakieś tam kursy i odczyty do stowarzyszenia.

— Jakżeś się zgodził i bierzesz ordynarję i zasługi, to pilnuj, mości dobrodzieju, obowiązku, jak pies trąby i skończona parada!

— Święta racja, sąsiedzie, — potwierdziło całe zgromadzenie, poczem zasiędzono do bridga.

Nic też dziwnego, że służba wiejska wobec takich poglądów na polepszenie jej bytu, gromadnie emigruje do Ameryki, pozostawiając łany folwarczne do obróbki sprowadzonym z dalekich stron sezonowcom, których znów bieda przygnała z głodniejszych jeszcze okolic.

Ubytek rąk do pracy napędził wprowadzić nieco strachu obszarnikom naszym, ale widocznie jeszcze do dziesiątej skóry im nie dojadł, bo kwestjonariusz np. sekcji służbowej przy Centralnem Tow. Rolniczem bardzo mało przynosi dotąd odpowiedzi, na pytania, co do stanu ekonomicznego, społecznego i kulturalnego parobków naszych.

Nic też to tem dziwnego! Stan ten bowiem jest prawie wszędzie opłakany i nikomu nie pilno chwalić się jego ujemnymi stronami. Leży więc sobie zwinięty w rulon papier od Towarzystwa na biurku w kancelarji gospodarskiej i, jedynie muchy lipcowe wystawiają na nim gęste punktacje!!!

A tymczasem w Zasięku, kędy się gromadzą przy sobocie młodzi i starzy, baby i parobki, o czem zaczniesz opowiadać, a zawsze na Ameryce skończy.

— Moście wy, powiada Marcinowa, wczoraj dla Uliśki przystali już siwkartę; ma zara po żniwach jechać.

— Dyć, odpowiada Bartkowa Antek będzie się z nią tom żenił zara. — Widzieliśta ludzie jaką, wej ci on fotografię przysłał. Wygląda na niej jak nasz dziedzic w kapelusie, co to się nazywa bania czy zaś melon! przy zegarku i w rękawiczkach A przecie jeszcze łońskiego roku gnój z nami nakładał pod to żyto, co wej go teraz odbirowa z furi!!!

— Niemo tu cò robić moja kumo, ja też po wykopkach do dzieci jadę, mówi stara Jędrzejowa, której czworo dzieci już w fabryce szkła pracuje za oceanem, a jeden zginął w roku zeszłym w kopalni węgla.

.....

Exodus więc ze dwora i z chaty wygania wiejskie nasze sfery. Obszarnicy depezą swą ojcowiznę i wynoszą się do miasta; chłop zaś wiezie swe zdrowie i mięśnie na giełdę amerykańską. Kraj pustoszeje coraz bardziej nie tylko u nas ale i za kordonem. Przy ostatnim też poborze w Galicji nie stawilo się popisowych w korpusie krakowskim 20,872, w korpusie przemyskim 26,122, w korpusie lwowskim 33,860,

co poważnie zaniepokoiło odnośne władze wojskowe.

Jest to jednak ogólny wynik niskiego stanu oświaty i małego rozwoju ekonomicznego we wszystkich krajach, gdzie kultura nie przenika do warst ludowych, muskając jeno zaledwie po wierzchu zamożniejsze sfery.

Analogiczny z naszym stan, przedstawiają też i Włochy, które niezrażone niepowodzeniami w Abisynji, znowu obecnie uwiesiły sobie u nogi trypolitańską kulę. Podczas więc, gdy tysiące biednej ludności z Piemontu, Sardynii i Kalabrii, głód wygania do Ameryki, miljarde z podatku zebrane toną w bezpłodnych piaskach Afryki, zamiast by z ich pomocą podnieść rolnictwo i przemysł własnego biednego kraju i zatrudnić te mnogie ręce, co szukają pracy za oceanem. —

Zawsze pamiętna mi też będzie scena, kiedy

dażąc tej wiosny brzegiem Italii, dwie godziny czekać musiałem, na malej stacyjce nadmorskiej, zanim poprzepuszczano liczne ekspresy, uwożące publikę, co zjechała z całego kraju do Spezu, na uroczystość spuszczenia nowego pancernika *Andrea Doria*, który chrzcili oboje królestwo, ku pomnożeniu morskiej Włoch potęgi kosztem 60 milionów lirów.

A potem w godzin parę przyjechawszy do Genui, gdym widział jak wielki statek „Sabaudja“ uwoził tysiąc kilkaset biednych włoskich emigrantów, do dalekiej gdzieś Argentyny! — choć śmiała się do nich słoneczność tysiączna kwiatów, dzwoniły im w uszach borleonole, a zapłakane matki i narzeczone powiewały długo, długo chustkami odjeżdżającym, niepewne, czy ich kiedy zobaczą — pomyślałem: tout comme chez nous.

Agricola.

Najważniejsze zadania.

Prawo nauczania powszechnego jest dziś u nas największą i najdonioślejszą sprawą. Wobec niej wszelkie inne maleją lub schodzą na plan dalszy. Wszelkie bowiem niedomagania nasze ekonomiczne i społeczne, wszelkie nawet objawy niedoli w znacznym stopniu wynikają z analfabetyzmu wielotysięcznych mas. Dlatego mamy tak wprost przerażającą liczbę analfabetów,—można byłoby o tem szeroko mówić. To tylko zaznaczyć należy, że nie my sami jesteśmy sprawcami naszej ciemnoty. Mieliśmy w swoich dziejach, stosunkowo nawet niedawnych, świetne karty z dziedziny oświaty i gdyby nie katakлизmy i klęski dziejowe, niewątpliwie dotąd nie mielibyśmy już ani jednego analfabety. Przez długi szereg lat była całkowicie zatamowana inicjatywa zarówno prywatna, jak i społeczna, a nauczanie elementarne po za wszelkimi formalnościami i sankcjami stało się równoznaczne ze zbrodnią w rodzaju koniokradztwa lub podpalania.

Czyż możemy więc siebie oskarżać, że w takich warunkach mroki szerzyły się coraz bardziej i ogarnęły całe niziny społeczne naszego kraju? Gdy zaś zdobyliśmy się na piękne, płodne organizacje oświatowe ulegalizowane, po krótkim acz chlubnym istnieniu i na nie spadła klęska. Przerwano ich istnienie. Działalność jednostek rozprzężona, dorywcza, zakładanie szkół początkowych środkami prywatnymi lub drogą opodatkowania ludności, jak np. w Łodzi nie mogły w całej rozciągłości zadośćuczynić potrzebom rzeczywistym. Dziesiątki tysięcy dziatwy pozostały po za szkołą.

Lecz oto przychodzi nam znaczne ułatwienie. Dzięki nowemu prawu o nauczaniu powszechnem, cały kraj może się pokryć siecią szkół. Po latach dziesięciu będziemy mieli tyle uczelni, że żadne dziecko nie pozostanie po za obrębem szkoły.

Jak wiadomo, większość mieszkańców gmin wiejskich i miast powzięła uchwały pomyślne, dotyczące budowy domów szkolnych przy pomocy zasiłków rządowych oraz—zaprowadzenia nauczania powszechnego.

Tak więc po upływie dziesięciolecia możemy mieć tysiące szkół początkowych.

Ale oto stoimy wobec bardzo ważnych pytań: Czy wystarczy nam sił pedagogicznych? Czy znajdziemy odpowiednią liczbę nauczycieli? Czy będziemy mieli niezbędną liczbę zakładów naukowych, które zdołają przygotować personel nauczycielski, odpowiadający pod względem liczby i przygotowania rosnącym potrzebom?

Dotąd pod tym względem nie mieliśmy szerokich potrzeb. Po zamknięciu naszych instytucji oświatowych nauczanie elementarne nie posuwało się naprzód, nie nęciło młodzieży do przygotowania się na pracowników w dziedzinie pedagogicznej. Dzisiaj jednak zmienia się znacznie postać rzeczy. Stoimy wobec wielkich braków, wielkich luk, które zapełnić należy.

Jak wiadomo, dotąd w kraju naszym na potrzeby szkół elementarnych dostarczały nauczycieli ludowych seminarja nauczycielskie rządowe: w Warszawie, Łodzi, Łęczycy, Solcu nad Wisłą, Wejwerach, Siennicy, Jędrzejowie, Białej i Chełmie. Nie wszystkie jednak te seminarja dostarczały nauczycieli dla dzieci wyłącznie polskich.

Ktoś w *Tygodniku Suwalskim* oblicza, że obecnie Królestwo Polskie posiada 300,000 uczniów, którzy uczęszczają do 4200 szkół. W razie zaś zaprowadzenia nauczania powszechnego, przybędzie w całym kraju w ciągu lat dziesięciu 25,000 szkół. Czyli rocznie będzie nam przybywało 2,500 szkół i tylu co rok potrzeba będzie nam nauczycieli. Obecnych dziewięć seminarjów rządowych i dwa prywatne stanowczo nie dadzą takiej znacznej liczby nauczycieli, gdyż wydają one zaledwie około 300 kandydatów na posady

nauczycieli ludowych. Przypuśćmy, że drugie tyle osób prywatnych zda egzaminy odpowiednie; pozostanie więc jeszcze olbrzymia luka: 2,000 miejsc, które, jak słusznie zaznacza autor artykułu w *Tygodniku Suwalskim* „może zając element obcy, zupełnie niepożądany“.

Nie ulega jednak wątpliwości, że olbrzymi ruch, jaki wkrótce powstać może na polu nauczania powszechnego, wywoła pewne ułatwienia w zakładaniu kursów nauczycielskich. Już dziś mamy w tej mierze pewne wskazówki z przykładu w Płockiem, gdzie powstał dość znaczny ruch w sprawie nauczania powszechnego i skutkiem tego miejscowe władze naukowe wystąpiły już z projektem utworzenia kursów nauczycielskich przy płockiej szkole miejskiej. Miejmy nadzieję, że w tym zakresie silnie się rozwinię inicyjatywa i samopomoc społeczna, że powstanie sporo prywatnych seminarjów nauczycielskich, które nie będą miały przeszkód natury formalnej.

Przypuszczamy więc, że temi drogami dojdziemy do możliwości przygotowania armji nauczycieli ludowych, którzyby zadośćuczynili potrzebom wzrastającej liczby szkół. Ale oto rodzi się nowe pytanie: Czy znajdzie się w kraju odpowiednia liczba kandydatów do tych zakładów, przygotowujących nauczycieli ludowych. — Pytania tego zdaje się dotąd nikt jeszcze nie zadawał i nikt się nie zastanawiał nad tą poważną kwestją. Mamy moc wielką młodzieży, żadnej nauki, ale mało jest takich, którym się uśmiecha karjera nauczyciela ludowego. Mówimy: *karjera*, gdyż olbrzymia większość naszej młodzieży musi mieć na względzie przyszły byt materialny. Każdy, kto pomyślnie skończy szkołę średnią, dąży do zdobycia nauki wyższej, o ile na to pozwalają środki materialne rodziny, energia i wytrwałość. Ta dążność do kształcenia się w wyższych zakładach naukowych wzmacnia się z każdym rokiem. Dziś, w całej niemal Europie we wszystkich wyższych zakładach naukowych pełno jest młodzieży polskiej i prawie niema takiego zakładu, w którym pewien procent polaków nie kończyłby nauk z odznaczeniem. Coraz więcej jest takich, którzy po skończeniu wyższych szkół specjalnych, odbywają jeszcze praktyki za granicą.

I jeszcze uderza jedno zjawisko znamienne: gdy dawniej młodzież polska wracała z zagranicy z tytułami doktorów filozofji, dzisiaj coraz więcej wraca ze zdobytą wiedzą fachową po to, ażeby w kraju zając jakieś stanowisko i rozwijając pracę produkcyjną na polu ekonomicznym.

Niewątpliwie jest to zwrot ku życiu realnemu. Każdy pragnie obrać sobie taki zawód, któryby dawał możliwie najwięcej szans zdobycia wyższych stanowisk, dających stopniowo bądź coraz lepsze uposażenie, bądź też możność samodzielnej pracy twórczej, prowadzącej do coraz większych zdobyczy. Jest to objaw *karjery*, ale bądź co bądź nie można go nazwać objawem chorobliwym. Wynika on z uświadomienia warunków naszego bytu, naszego położenia politycznego i ekonomicznego. Kształcimy się w tych kierunkach, jakie dają najwięcej szans pracy

produkcyjnej. Nie kształcimy się na profesorów, bo nie mamy wyższych zakładów naukowych. Omiijamy wogóle dziedzinę pedagogiczną, bo nasze szkolnictwo nie rozwija się normalnie i silnie, nie jest oparte na funduszach krajowych, ani państwowych. Nie kształcimy się na urzędników, ani na działaczy politycznych, bo te wszystkie pola są dla nas zamknięte.

W ostatnich czasach czy to w kraju, czy zagranicą, młodzież nasza idzie coraz liczniej w kierunku handlowym, co jest także wyrazem rozwoju pewnych dziedzin życia ekonomicznego, w których praca jednostek fachowo wykształconych nie daje się zamknąć w wązkich ramach, przeciwnie, daje szanse osiągnięcia maximum produktywności, a więc i niezależności ekonomicznej.

Wobec takich dążeń, trudno liczyć na to, ażeby wśród młodzieży naszej rozwinął się silny żywiołowy pęd w kierunku pedagogicznym, dla zadośćuczynienia potrzebom w dziedzinie nauczania powszechnego. Ten pęd trzeba rozwijać forsownie. Trzeba przytem dążność ideową łączyć z materialną. Byt nauczyciela ludowego jest bardzo skromny. Przytem jest to stanowisko zamknięte wyraźnymi granicami. Niema ono żadnych szczybli. Nauczyciel ludowy nigdy nie pójdzie wyżej, pozostanie zawsze tylko nauczycielem ludowym.

To też trzeba przedewszystkiem postawić na pierwszym planie kwestję uposażenia. Nauczyciele ludowi powinni mieć znacznie wyższą, niż dotąd płacę, któraby nie tylko im samym zapewniła byt znośny, ale pozwoliła im tworzyć rodziny. Takie realne postawienie i załatwienie kwestji, niewątpliwie pociągnie znaczną liczbę kandydatów na nauczycieli szkół ludowych.

Ale pozatem powinna się rozwinąć w całej pełni dążność ideowa. Nauczyciel ludowy nie może traktować swego zawodu tylko jako podstawę bytu materialnego. Praca jego posiada olbrzymią doniosłość społeczną i kulturalną. Zadania nauczycieli ludowych w naszych warunkach są o wiele ważniejsze i więcej warte, niż zadania setek inżynierów, chemików, handlowców, techników i t.d. Walka z analfabetyzmem to jest walka bohaterska. Każdy nauczyciel szkoły elementarnej, to żołnierz, który broni masy ludności przed dziką hordą: nawałą ciemnoty. A wszakże ta ciemnota, to największy wróg, który do jarzma nizin przykuwa wielotysięczne masy, nie pozwala im się wydobyć z nędzy, ciemnoty i wejść na słoneczne wyżyny kultury; nie pozwala im korzystać z całej pełni zdrowego życia i zdrowego rozwoju.

Należy tedy szerzyć ideę kulturalnej doniosłości zadań nauczyciela ludowego. Światły lud, to jest fundament narodu, to podstawy jego bytu i trwania, to źródło jego sił duchowych i niepożytej energii.

Szerzmy więc ideę tych zadań nauczyciela ludowego, a niewątpliwie znajdziemy i wykształcimy całą armję tych pracowników, których starczy dla wszystkich sieci szkół stworzonych na podstawie prawa o nauczaniu powszechnem.

Zenon Pietkiewicz.



„Sumurun” w teatrze Reinhardta. Słynne tancerki, siostry Wisenthal.

TEATR NOWOŚCI. — „SUMURUN”.

Fanfara reklamy domu handlowego Reinhardt i S-ka próbowała nadać pantominie młodego monachijczyka Freksa p.t. „Sumurun” znaczenie wybitnie artystyczne i teatralno-reformatorskie.

Pantominie tej brak źródła ożywczego, jaką jest dobra dramatyczna muzyka, gdyż elabarat p. Holendra, skomponowany jest bez krztyny twórczej oryginalności i nie wytrzymuje porównania ze znaną muzyką Rymskiego-Korsakowa do przesłizanej baletowej pantominy „Schechezerady”. Nie wiem, jak po istotnie dobrem wystawieniu tej pieśni miłosnej Baksta i Rymskiego-Korsakowa można zachwycić się w Warszawie „Sumurunem”, towarem eksportowym Reinhardta, obliczonym na kolonje niemieckie i angielskie.

Libretto pantominy ukrywające w zawojach turbanów baśni wschodniej, nagą lubieżność i germańskie rozpasanie się ciał niema w sobie istotnie poetycznego podkładu, lecz szarpie odwieczną tragedję pierrota, splecioną w mozaikę wschodnich motywów, od judaistycznych począwszy na japońskich skończywszy.

„Sumurun” to wielkie „mixtum compositum”, dźwięków, barw i ruchów, któremu *humbug* na imię.

Dziś w czasie, gdy Bakst w Paryżu i Londynie świeci tryumfy, stwarza nowy styl taneczny, czaruje oczy orgią barw, zachwyca ucho muzyką genjal-

nych twórców, nie dziwnego, iż Reinhardt urządza wyprzedaż starych dekoracji, kostumów i reżyserów „Sumurun” z czego dzielny dyrektor Śliwiński umiejętnie skorzystał, spóźniając się jednak o lat parę.

Mimo całą artystyczną bezwartościowość „Sumurun” twierdzą, iż wystawienie „Sumurun” było krokiem bardzo dodatnim, gdyż przez osobę p. Ordyńskiego zapoznało artystów naszych z tresurą szkoły Reinhardta, wykazując, iż artyści nasi wykonają wszystko, jeżeli tylko wiedzą czego się od nich żądać trzeba. Tricki reżyserskie nie zawiodły, role opracowano dokładnie i sumiennie.

Inscenizacja sceny, była zorygnowana okiem artysty-reżysera, które patrzeć umie na scenę, jako rzeźbiarz i malarz.

„Sumurun” wystawiono wskutek taktu i znajomości teatru dyr. Śliwińskiego w teatrze „Nowości”. Ucierpiała na tem oryginalna oprawa sceniczna Reinhardta, zastosowana do dużych aren cyrkowych i scen wielkomiejskich. Aczkolwiek dekoracje Reinhardta ucierpiały mocno przy operacji odświeżania ich w Warszawie, mimo to zapoznały widzów z nowymi problemami sceny, wykorzystującymi bogactwo światła i plastykę architektury.

W stosowaniu uproszczonej sceny i systemu wieżowego w „Sumurunie”, tkwi pewna dysharmonja estetyczna.

„Sumurun”, ta mieniąca się

tęczą barw orgja ciał i kolorów, wymaga jako tła teatralnego, cudów wschodniej tekstylnej sztuki. Przepyszne kostjmy na szarem tle wieżowej sceny występują zbyt jaskrawo, nie łącząc się w bezpośrednią malarską sylwetę barw i plam. Uproszczony system wieżowy użytecznie bywa stosowany w intelektualnym dramacie, w którym miejsce akcji bywa szkicowo narzuconem. Oprawa mozaiki wschodniej nie zgadza się z tonem kiru i szarego sukna, wymaga barw safianu, jaszczuru i ornamentyki świata Islamu. Sylweta jaskrawych figur aktorów, zarysowuje się zbyt ostrym konturem, nie znachodząc złagodzenia i zmatowienia w suchym tle i architektonicznej monotonji.

Przedstawienie pantominy Freksa w teatrze Nowości powiodło się najzupełniej, a siły nasze sprostały niezwyktemu i trudnemu zadaniu.

Wątpię, czy w Berlinie znalaziono lepszych odtwórców, niż pp. Osterwa, Popławski i Morozowicz.

Główne figury odtworzyli pp. Knake-Zawadzki, Osterwa, Popławski i Małkowski, oraz pp. Wanda Osterwowa, Walerja Gnatowska i Pola Negri.

P. Kitschman, zasiadająca po raz pierwszy w Warszawie przy pulpicie dyrygenta, nie zdołała nie wydobyć z tej kabaretowej, bladej ilustracji muzycznej Holendra.

M. Dienstl.



Na dachu nowowytubowanego teatru Nowoczesnego.

TEATR NOWOCZESNY.

W mieŝaciut przyszłym rozpocznią się przedstawienia w nowo powstałym gmachu „Teatru współczesnego“ przy ul. Moniuszki. Typ artystyczny tego teatru jest wyrazem nowoczesnej gorączki życia, która nie każdemu dozwala spędzać wieczór cały w teatrze na słuchaniu muzycznego dramatu, lub współczesnej komedji.

W południowych krajach Europy w Hiszpanji i Włoszech zrodził się typ teatru jednoaktówek, w którym przygodny widz znajduje artystyczną rozrywkę w dowolnej porze, gdyż trwające około 2 godzin przedstawienia, bywają powtarzane parokrotnie.

Na czele warszawskiego teatru Nowoczesnego, stają wybitni artyści dający najzupełniejszą gwarancję wysokiego poziomu artystycznego, w tym

nowym przybytku sztuki, który wzrasta na gruzach film i soczewek kinematograficznych przedsięwzięciach, pozyskując te szerokie masy dla polskiej sztuki, które dotychczas poza berlińsko-amerykańską farsą kinematograficzną, nieznaly wyższych rozkoszy estetycznych.

W skład repertuaru teatru nowoczesnego; wchodzić będą oryginalne utwory komedjowe naszych pisarzy i utwory muzyczne swojskie i obce.

Adolf Nowaczyński, który pierwszy raz staje na stanowisku literackiego kierownika teatru, nada repertuarowi specyficzny charakter i siłą swego talentu podniesie poziom i literacką wartość teatru.

Jeden z najzdolniejszych polskich muzyków, *Adam Dołżycki*, obejmuje kierownictwo,

ogromnie interesującej części muzycznej, w skład której wchodzić będą obok komedjo-oper, nastrojowe obrazy i klasyczne utwory muzyczne.

Inscenizacją i malarską oprawą sceniczną zajmie się grono artystów z Edwardem Trojanowskim na czele.

Gmach obliczony na 500 miejsc siedzących, zbudował według ostatnich wymagań teatralnej techniki p. Czesław Przybylski, twórca gmachu „Teatru Polskiego“.

Scena uposażoną będzie w dotychczas u nas nieznaną aparat świetlny systemu Fortung'ego, dozwalaający snuć przedziwne malarskie symfonje barw.

Na czele „Nowoczesnego teatru“ jako dyrektor, staje mecenas Ryszard Gałczyński z Petersburga.



Sir Edward Grey.

Polityka jest jedną z najtrudniejszych sztuk. Dawno już minęły czasy, gdy polityką „bawili się“ zawodowi żonglerzy dyplomatyczni — obecnie kulisy

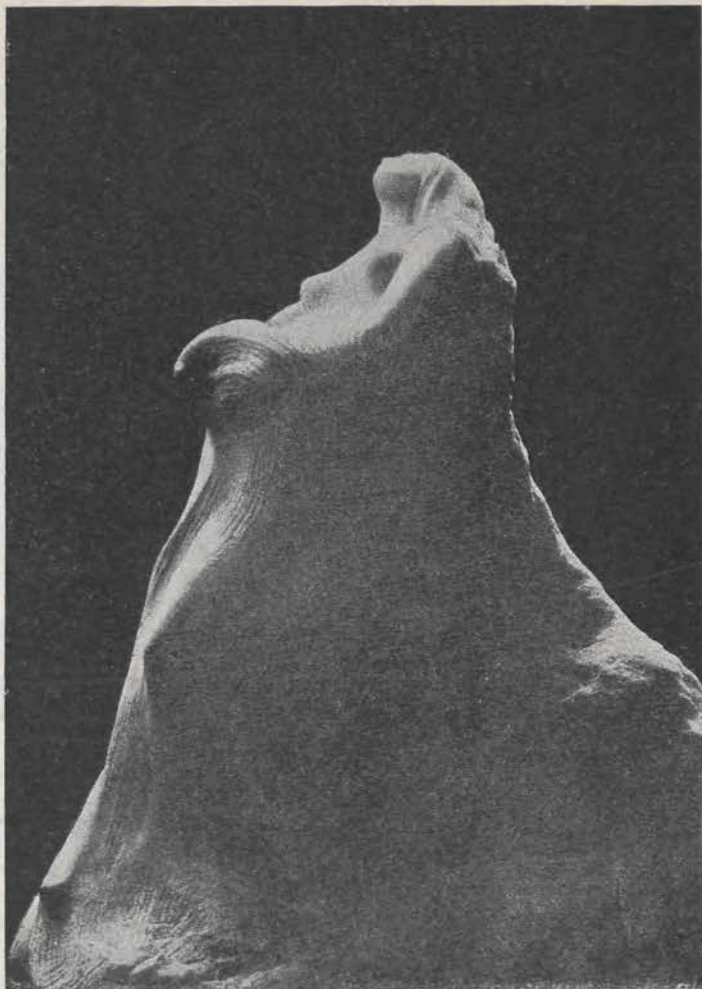
akcji politycznej podlegają stałej i ścisłej kontroli ze strony parlamentów.

Nie też dziwnego, że co wybitniejsi parlamentarzyści zajmują postępniki kierownicze w dyplomacji państw zachodnio-europejskich; w Anglii zwłaszcza jest to na porządku dziennym.

Jednym z takich dyplomatów-parlamentarzystów, człowiekiem,

który faktycznie kieruje polityką nie tylko angielską, lecz europejską jest sir Edward Grey.

Urodzony w 1863 r. jako mały chłopak sierotą i był wychowany przez dziadka. Znanego ministra W 23-im roku życia wybrany został na posła do parlamentu i od tej chwili — od 1886 r. nie opuszcza ani na chwilę ręki z pulsu życia politycznego.



Franciszek Flaum.

„Poranek“.

W 1892 roku objął tekę ministra spraw zagranicznych i przez cały przeciąg urzędowania swego pracuje nad wzmocnieniem mocarstwowego stanowiska Anglii.

Jako imperjalista z przekonania sir Grey opanowuje silną władzą coraz to nowe kolonie angielskie, nie licząc się z żadnymi „przyjaciółmi“ politycznymi, dbały jedynie o dobro kraju.

Ostatnie wypadki na Bałkanach i konferencje pokojowe

wykazały, że Europa nie posiada dyplomaty, któryby mógł się mierzyć z Greyem.

Pozbawiony zgoła uznania nacjonalizmu dąży Grey do stworzenia unji ze Stanami Zjednoczonymi.

Kobiety idą!

„Szczęśliwą rękę“ miała Antonina Andrzejewska, zapoczątkowując uprawianie fachu dorożkarskiego przez kobiety. W ciągu ostatnich paru tygodni wpłynęła do kancelarii ober-

policmajstra warszawskiego znaczna ilość podań kobiecych o bilet dorożkarski, otrzymało go 16 kobiet.

Mamy zatem siedemnaście dorożkarek.

Jednocześnie na kolei Warszawsko - Wiedeńskiej zrobiono poważny wyłom: na przystanku Włochy zamianowano kobietę na stanowisko zawiadowcy i kasjera.

Poza Finlandją jest to pierwszy wypadek — w państwie, powierzenia kobiecie takiej posady.

W następnym numerze „Złotego Rogu“ rozpoczynamy druk pracy p. t. „SZLAKAMI ŻYCIA MILJARDERA“ (z życia Pierponta Morgana), specjalnie dla nas napisanej przez naszego korespondenta paryskiego.



Femina

„SUFRAŻYSTKI“

Ojczyzną ich jest Anglja, w której rodzą się i dojrzewają wszystkie lub prawie wszystkie wynalazki, odkrycia, prądy, kierunki nowych czasów, nowej ery. Suфраżystki „*Suffragists*“ są bezwzględnie wezwaniem tych nowych prądów, tego nowego a potężnego ruchu, który ogarnął nieledwie całą połowę istot ludzkich, wywalczających sobie równość praw, będących dotąd wyłącznością drugiej połowy rodzaju ludzkiego. Jest to uosobienie walki kobiety przeciw mężczyźnie, o ile ten broni swej dotychczasowej wyłączności tychże praw jest to bardzo

mozolne zdobywanie życiowych placówek dotąd wyłącznie przez mężczyzn zajmowanych jest to zamienianie myśli w czyn bardzo produktywnie i znamienne, zaznaczające się już całym szeregiem tryumfów a zmierzające potężnym krokiem po nowe laury, sięgające po nowe zdobycze.

Łatwo zrozumieć, że taka walka zmieniająca podstawowo ustrój społeczny, obracająca w gruzy stare gmachy, lub na ich miejsce wzniesie nowe przybytki równouprawnienia—to jest wolności, nie może obejść się bez fatalnych zgrzytów, bez ciężkich

starć, bez setek ofiar, bez kroci poświęceń.

W ogólnem, nie dostatecznie uświadomionem pojęciu, suфраżystka musi być koniecznie jakąś wstrętną starą megierą, w brudnej, poszarpanej odzieży, musi być negacją kobiecości i wdzięku, ma być koniecznie częścią proletariatu ulicznego, jednostką podniesioną do tysięcy, przebiegającą miasto wśród zgiewu i krzyków, tłukącą szyby publicznych gmachów, szerzącą zamieszanie i popłoch, zakłcającą spokój poważnych obywateli... Zapewne, wszystko to zdarzało się i zdarza, bo su-



Słynna suфраżystka p. Fawcett, przemawiająca do tłumu suфраżystek.



Lady Rochdale przemawia na meetingu w Hyde Parku.

frażystkami rządzi często fanatyzm, to jest uczucie przekraczające wszelkie granice rozsądku, ale bez fanatyzmu, *takich* przewrotów się nie czyni, *takiej* walki się nie prowadzi. Podniecane stawianym im ciągle oporem, drażnione nieudanymi często wysiłkami, dochodzą istotnie do godnych potępienia ekcesów, które pogarszają ich sprawę. Są to jednak wypadki pojedyncze, wyjątkowe, wywołane pewną frakcją sufrażystek, tak zwaną *bojową*. W olbrzymiej korporacji swojej sufrażystki liczą bardzo znaczną ilość kobiet wytwornych, wysoko wykształconych, zrodzonych i wychowanych w lordowskich pałacach i willach.

Cudne, urocze wielkopańskie siedziby okolic Londynu, tonące w zieleni i kwiatach, bronione przed oczami profanów wspaniałe rzeźbionymi złoconymi kratami, gdzie się żyje jak w zaczarowanej bajce, były jeszcze do niedawna zupełnie zamknięte dla wszelkich nowych idei i prądów.

Konserwatywna Anglia chroń się zazdrośnie w swoich wymarzonych „at home” od wszelkich zewnętrznych naleciałości.

W tem wysnionem obramowaniu wzrasta młoda artystka angielska. Jej gibka postać wykształcona we wszystkich sportach, jej pociągłe rysy opromienione nieprzejrzaną głębią lazurowych oczów, noszą wybitne cechy niczem niezamąconego spokoju, dumy, wyniosłości, pewności siebie nieograniczonej. Zdawaćby się mogło, że horyzont jej uczuć, myśli i pragnień, zaczyna się i kończy w parku jej rezydencji, że poza sportem i ulubionym *tea-house*, nic dla niej nie istnieje...

I oto zdarza się rzecz niesłychana... Młoda krew tak na pozór spokojna, zaczyna się burzyć, zalewając gorącą falą rozsądek a nawet poczucie godności. Na romansowym podkładzie następuje życiowa katastrofa... Pewnej bezksiężycowej nocy, młoda lady wykrada się z czarownej willi, rozdiera alabastrowe ręce i wspaniałe szaty o złoconą kratę pałacu i pada w objęcia najczęściej jakiegoś zwykłego, dobrze zbudowanego burżuja, który jej przez jakiś czas towarzyszy w tym nowym okresie jej życia... Jak zwykle, następuje zawód po zawodzie, zniechęcenie do życia, niena-

wieć do mężczyzn, oburzenie na istniejący społeczny porządek, chęć walki — zdobycia praw innych. I oto zrodził się materiał na sufrażystkę.

Inne znowu, córki klas zaможnych, żyjące w zetknięciu z szerszymi kołami, wchłaniają nowe pojęcia, nowe światopoglądy swych młodych towarzyszek. Chęć zdobycia zupełnej niepodległości, wymarzonego równouprawnienia, chęć zwalczenia wyższości mężczyzn, do których mają rozliczne pretensje, myśl wyswobodzenia się z pod tak zwanego jarzma rodzicielskiego — wszystko to staje się aż nadto wystarczającym materiałem na sufrażystkę. Wreszcie cała olbrzymia liczba malkontentek, istot przeciążonych zawodową pracą, tak dla kobiet nieproduktywną, chęć naturalna ulżenia sobie w walce o byt, stania na równi z mężczyzną na polu pracy i zarobku — oto najpotężniejszy kontyngent rodzący zapamiętałe sufrażystki... *te „bojowe”*.

Oczywiście tu jak wszędzie, poziom inteligencji i wykształcenia oraz osobiste poszczególne zdolności, odgrywają wielką rolę, wysuwając na plan pierw-



Z teatru. „Dobra dziewczyna”. Pani Pichor w roli tytułowej.
Fot. Malarski i Tavrell.

szy inicjatywy, i działalności te które z natury rzeczy stać muszą na czele tej wielkiej korporacji tego potężnego ruchu. Dar słowa—umiejętność przemawiania do mas, jest olbrzymim czynnikiem zdobycia naczelnego stanowiska.

Ryciny nasze przedstawiają dwie dzielne oratorki. 1) Prezy-

dent Narodowego związku kobiet p. *Henryka Fawcett* przemawia do tłumów sufrażystek. 2) *Lady Rochdale* ma wielką mowę w londyńskim Hyde Parku. Obie te panie są wysoko wykształcone i posiadają niezwykły dar wymowy.

Trzeba dodać dla ścisłości, że jednym z głównych motorów

ruchu kobiecego w Anglii, jest tak zwany *Suffrage for woman*, czyli prawo głosowania dla kobiet. Jest to oś, około której obraca się cała konstelacja dodatkowych żądań, zdobywanych istotnie w najcięższym trudzie, w bajecznych wysiłkach i poświęceniu bez granic dla umiłowanego celu. *Marcèle.*

ROZRYWKI LETNIE.

Jeżeli zima z całym swym bogatym repertuarem zabaw sobie właściwych, przedstawia cały ponętny szereg zebrań towarzyskich, odbywających się w salonach balowych, koncertowych, teatralnych i t. d... to sezon letni, bynajmniej nie ustępuje zimowemu w różnych rozrywkach i uciechach a nawet go o wiele przewyższa różnorodnością i szerszym terenem działania i popisów.

Najwspanialsza sala balowa, o gładkiej jak lustro mozaikowej posadzce, oświecona tysiącem elektrycznych świateł, przepojona wytwornymi perfumami, nie może się równać z obszerną leśną polaną, zasłaną zielonym kobiercem murawy, z obszarem pól i łąk zasianych kwieciami, ze szczytami gór o

śnieżnych blaskach, z majestatem morskich wybrzeży, z poezją lazurów jezior, z tą całą cudną przyrodą, oblaną pod stropami niebios, promieniami letniego słońca... Cała ta dobroczynna natura, wyciąga ku nam dobrotliwie ramiona, darzy nas swym niezrównanym urokiem, poi odżywczym nektarem, odradza nasz organizm, nasze myśli i serca, daje nam nowe siły, nową życiową energję... To wszystko bierzemy z lata, wraz z całym obszernym programem rozrywek na otwartem powietrzu „*en plein air*”.

Oczywiście na pierwszym planie tych rozrywek stanął wszechpotężny i wszechmodny *Sport*, z setkami swych wcieleń, swych przejawów, których liczba wzrasta bezustannie, dążąc ku nam

z drugiej półkuli, będącej sportową kolebką, lub przepływając tylko kanał *La Manche*, aby rozwijać się w najszybszym tempie i z niebywałym powodzeniem stawać się istotnem umiłowaniem kroci... milionów ludzi cywilizowanych.

Dawniejsze gry t. z. *cerceau*, *volant* i *palant*, które umilały chwile naszych prababek, ulepszone i zamieniono z czasem na *lawn tennis*, będący jedną z najstarszych sportowych rozrywek, następnie pojawiły się *Criquet*, *Fott Ball*—*Le Polo* i t. d. i t. d. Ulepszone i doprowadzone do doskonałości przez mistrzów fachowców, *Ćwiczenia gimnastyczne* ze Szwecją Norwegią i Danią na czele, zajmują olbrzymi dział (z dziesiątkami odmian i sposobów),



Wyładowanie.



Posiłek w lesie.

w świecie Sportu. Zbiorowe popisy *gimnastyki rytmicznej*, są ostatniem słowem wyćwiczenia sprawności ludzkiego ciała. Widok tych mas złożonych z poszczególnych jednostek, poruszających się automatycznie, daje złudzenie jakiejś olbrzymiej maszyny, wprowadzonej w ruch elektrycznym precyzyjnym motorem. Jest to poprostu bajeczne!..

Koń, jako czynnik całego obszernego sportowego działu, przyczynia się w znacznej mierze do letnich rozrywek. Konna jazda, ten najszlachetniejszy ze sportów, hodowla koni, ich konkursy i wystawy, wreszcie wyścigi i poprzedzające treningi, dostarczają właścicielom stajen, zawodowcom, oraz szerokiej publiczności, nieskończonych wrażeń, z totalizatorem na czele. Wiosłowanie, czyli tak zwany *Yachting*, jest czysto letnią rozrywką, również do sportów zaliczoną, rozwija płuca, wzmacnia mięśnie, posiada w swym całokształcie wiele poetycznego

uroku. Trochę przebrzmiały sport welocypedowy, głównie latem uprawiany, jest miłym sposobem przenoszenia się z miejsca na miejsce, posiada wyszkolonych zawodowców t. z. Mistrzów jazdy.

Olbrzymio uprawiany sport automobilowy, zajął pierwszorzędne stanowisko w przemyśle i handlu, oraz w użyciu *modern style*, zamożnych ludzi. Posiadanie własnego, ze wszystkich miar doskonałego automobilu, i zdolnego szofera, należy do dużego luksusu, ale jest wspaniałą i nie tylko letnią rozrywką. Przejazdki najmowanymi, a często bardzo wadliwymi maszynami, należą może do *modern* szyku, ale... nie jest to ani eleganckie — ani bezpieczne, lepszy powóz zaprzęgnięty w parę dobrych koni, lub porządna dorożka.

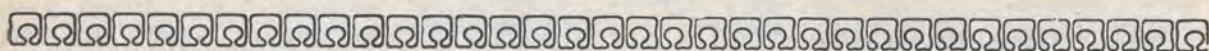
Pozostaje awiatyka... najmłodszy ze wszystkich sportów, jeszcze *jako rozrywka* nie praktykowany — Nastąpi to może z czasem, ale na specularyzowa-

nie awiatyki — jeżeli w ogóle to kiedyś nastąpi, potrzeba wielu wielu jeszcze wysiłków i wielu jeszcze ofiar!..

Do letnich rozrywek należy *Alpinism* czyli wdrapywanie się na szczyty gór. Jest to sport wywołujący potężne wrażenia — ale też wymaga odpowiednich sił fizycznych, potrzebuje treningu i osobistej odwagi gdyż jest połączony często z niebezpieczeństwem życia.

Pozostają jako letnie rozrywki dla zwykłych śmiertelników i śmiertelniczek piękne zbiorowe spacery i wycieczki, tak zwane *pikniki*, na które każdy z uczestników zabiera rozliczne prowizje i te razem najweselsiej spożywa. Na takich dorywczych leśnych ucztach, panuje niepodzielna swoboda, dobry humor i szczerza zabawa, rodzą się sympatje, dojrzewają uczucia, owiane balsamicznem powietrzem, ogrzane radosnem letniem słońcem!..

Marcèle.



WOKOŁO KOBIETY

Proces narzeczonego.

Pewien naręczony został niedawno skazany na zapłacenie „straconych korzyści“ panie, z którą nie zawarł projektowanego małżeństwa. Z tego powodu adwokat narzeczonego wniósł przed Trybunał następujący projekt: Na to, by narzeczeństwo stało się istotnie obowiązującym, potrzebna jest oficjalna zamiana pierścionków przy obiedzie familyjnym w obecności 12 osób.

Wszelkie inne formy narzeczeństwa nie są obowiązujące. Wniosek ten jednak jako w tym razie spóźniony, nie nie pomógł — sprawa została przegrana — klient miał pannę *odszkodać*...

Amerykańskie miliardarki.

Najbogatszą kobietą na druzgiej półkuli jest M-ra *E. H. Harriman*, wdowa po królu kolejowym. Król ten umierając po-

zostawił półtora miljaru franków majątku. Żona jego, która szeregiem lat była prawdziwym współnikiem i dzielnym współpracownikiem swego męża — zarządza obecnie całym tym olbrzymim majątkiem a obrady finansowe którym się oddaje są tak szczęśliwe, że fortuna rośnie niebywale — fenomenalnie. Pani Harriman wstaje o 5 rano i pracuje z niespożytą energią do 8 wieczór, z dwugodzinną przerwą na obiad. W jej bankach, biurach i kantorach w New-Jorku, pracuje do tysiąca ludzi — H. jest przeciwniczką pracy kobiecej w interesach finansowych, w tej olbrzymiej administracji niema ani jednej kobiety. Posiada wspaniałe pałace, wille, rezydencje — wszystko to stoi pustkami bardzo pięknie utrzymanymi — a ona mieszka w małej willi pod New Jorkiem z 14-letnią córką jedynaczką, którą zamierza wtajemniczyć

w swoją sztukę robienia miljaru. W dniu urodzin córki ojciec jej pan Harriman kupił dla niej naszyjnik z pereł wartości miliona franków...

Ciekawa statystyka.

Jeden z wielkich panów włoskich, bawiący w *Trouville* utrzymywał przez miesiąc statystykę koloru włosów, pięknych pań kąpiących się w morzu. Otóż ku wielkiej swej ucieśze skonstatował, że na sto nadobnych pań, było 80 blondynek... a lubił tylko blond włosy... Na szczęście ów arystokrata, niebył *au courant* tualetowo-kosmetycznych sekretów... Te cudne jasne sploty, olśniewające kolorem złota, lub dojrziałych kłosów, były wymowną reklamą znakomitych przetworów chemicznych w dziale farb, nadających włosom te wspaniałe odcienia...

POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

GEOGRAFICZNE ROZMIESZCZENIE

4) ZWIERZĄT.

Współrzędnie ze ślepymi zwierzętami, istnieje mnóstwo zwierząt z wielkimi oczami, u niektórych z pośród tych ostatnich oczy znajdują się na końcu długich wyrostków, jak np. u *Stylophthalmus*. U innych oczy występują z orbit, są to t. zw. oczy *teleskopiczne*. Dawniej mniemano, iż dzięki tym oczom, zwierzę posiada możliwość otrzymywania maximum promieni i że te teleskopiczne oczy odgrywają dlań rolę stereoskopu, t. j. dają wyraźniejszy i jaśniejszy obraz otaczającego je środowiska.

Ostatnio większość uczonych skłania się do twierdzenia, iż te organizacje stanowią wybitne oznaki zwyrodnienia i przypuszczają, iż zwierzęta, żyjące na wielkich głębokościach, posiadają przeróżne potworności.

Ale nie tylko oczy świadczą o zboczeniach; narządy dotykowe również zdradzają niesłychany rozwój.

Jeśli teraz przejdziemy do zbadania zwierząt jaskiniowych, to znajdziemy w warunkach ich życia bardzo dużo wspólnoty z warunkami życia zwierząt głębokowodnych; stała temperatura, mrok, pokarm, wyłącznie prawie zwierzęcy; niema również ostrych zmian środowiska. Do najbardziej charakterystycznych cech zwierząt jaskiniowych należy regresja organów wzrokowych, dochodząca niekiedy do ich zupełnego zaniku. Bardziej jeszcze charakterystyczny jest brak zabarwienia; zresztą, żadna z tych cech nie jest ogólna.

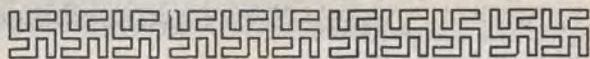
Flora i fauna wysp składa się z gatunków, które dostały się tutaj z różnych stron dzięki kaprysowi wiatru, morskich prądów, dzięki ptakom i okretom; jeśli wyspa jest kontynentalna, to należy jeszcze tu dodać potomków istot, które tutaj żyły aż do chwili, gdy wyspa oddzieliła się od lądu stałego. Gatunki żyjące na wyspach, ciekawe są z tego względu, iż wskutek swego stałego bytowania w określonym miejscu, znajdują się w warunkach straszliwej walki o byt i dlatego odznaczają się wielką zdolnością zachowywanych swych cech archaicznych oraz cech, nabytych pod wpływem specjalnych warunków środowiska. Dość często stwierdzano,

iż ograniczona przestrzeń wyspy sprzyja zwyrodnieniu zamieszkujących ją zwierząt; pogląd tego rodzaju jest jednak mało prawdopodobny. Jeśli na niewielkich wyspach Śródziemnego morza są skarłowaciałe słonie, niekiedy nie przewyższające nawet kucyków — to przecież znajdowały się one również i w Grecji, Włoszech i Gibraltarze. Wyspy te zaludniały się wówczas, kiedy żył protoplasta danego gatunku, posiadający niewielki wzrost — i izolowane gatunki zachowały na wyspie, lepiej niż gdzieindziej, swoje pierwotne cechy, tembardziej, że poszczególne takie gatunki, odznaczające się niewielkimi rozmiarami, żyły w takim środowisku, gdzie mniej było pożywienia, niż w innych. Zresztą, na bardzo małych wysepkach długotrwale mieszanie się najbliższych powinowatych, mogło, w istocie, wywołać zanik gatunku.

W kwestji zaniku skrzydeł, uczeni najchętniej posługują się teorią Lamarqua, tłumacząc ten zanik nieużywaniem danego narzędu. Chociaż tego rodzaju wyjaśnienie wielu ludziom ogromnie przypada do gustu, ale nie wydaje się nam ono dość przekonującym. Według Cainnaut'a zanik skrzydeł u owadów nie stanowi charakterystycznej cechy, właściwej owadom, w ścisłym znaczeniu tego słowa: jest to przede wszystkim charakterystyczny rys entomologicznej fauny brzegów morskich. Ponieważ wyspy zaludniały się gatunkami żyjącymi na najbliższych brzegach morskich, więc wskutek tego odznaczają się taką obfitością owadów bezskrzydłych. Zresztą na kontynencie żyją również bezskrzydłe owady. Na brzegu morskim gdzie niema zwierząt owadożerczych i na wyspach gdzie niema współzawodnictwa, owady, zdradzające zanik skrzydeł, mają najwięcej danych do bezpiecznego istnienia. Według Cainnaut'a, ten sam punkt widzenia można zastosować względem ptaków. Nie ulega wątpliwości, że regresyjny rozwój skrzydeł niejednokrotnie już obserwowano u rozmaitych gatunków kontynentalnych ptaków, ale proces ten w złowróżbny sposób przerywał się wskutek pojawienia się zwierząt mięsożernych, które niszczyły wszystkie ptaki, nie mogące latać; na wyspach zaś, gdzie niema nasiennych drapieżnych ptaków, regresyjna ewolucja skrzydeł mogła odbywać się nieprzerwanie.

(d. c. n.)

S. D.



Promienie „F”.

Oczywista wynalazcy telegrafu bez drutu, Marconiego, staje się znów słynną, dzięki genialnemu wynalazkowi inżyniera włoskiego, Uliviego, który posiadał tajemnicę, jak z maszyny, wysyłającej fale elektryczne, skierować promienie (nazwane przez niego „promieniami F”) na odległość dotychczas obliczoną od 600 do 6,000 metrów i zapalać materiały wybuchowe, zamknięte nawet w metalowych skrzyniach, a więc miny, składy prochu i t. d.

Jeżeli wynalazek, którego próby odbywają się obecnie z wynikami dodatnimi, pod Hawrem, okaże się zupełnie praktycznym, nastąpi całkowity przewrót w prowadzeniu wojny, albo ją kompletnie uniemożliwi.

Aparat Uliviego działa na morzu i na lądzie. Rzuca on „promień palący” tam, gdzie Ulivi chce i niszczyć będzie torpedowce, pancerniki, armaty, arsenały.

Ulivi urodził się we Florencji, ojciec jego jest Włochem, matka francuską. Studja kończył w Pizie. Mówi po francusku jak paryżanin, w Paryżu mieszka i tu zaprezentował wynalazek.

Sztab jeneralny francuski delegował specjalnego oficera do uczestniczenia w próbach wynalazku.

Doświadczenia wypadły bardzo pomyślnie. Ulivi wysadził w powietrze skrzynie metalowe z prochem z odległości kilkunastu kilometrów.

W doświadczeniach tych brał udział jen. Joffre przed samym wyjazdem swoim do Petersburga.

Wieża o wynalazku zelektryzowała sfery wojskowe i prasę francuską. Wynalazkowi przypisują olbrzymie znaczenie.

Nic też dziwnego, że sztab jeneralny we Francji, któremu Ulivi proponował nabycie wynalazku, mogącego odegrać rolę doniosłą w dziejach ludzkości, tak żywo zajął się tą sprawą.

Samochody naftowe.

Związek francuskich sprzedawców nafty postanowił ogłosić dwa konkursy z nagrodami po 50,000 franków za wynalazek, który umożliwiłby używanie przy samochodach nafty zamiast benzyny. Jako konieczny warunek postawiono, aby nawet rozgrzewanie motoru benzyną było wykluczone. Warunki techniczne konkursu opracowuje komisja techniczna francuskiego klubu automobilistów. Wynalazek ten miałby dla przemysłu naftowego ogromne znaczenie.

Nawodnienie Sahary.

Po wielu projektach, które wkrótce po swych narodzinach poszły w zapomnienie, obecnie rząd francuski, wobec znakomych wyników, osiągniętych przez irygację w Egipcie, zdaje się poważnie zajmować sprawą nawodnienia należących do niego terytoriów Sahary. Plan ten stoi w związku z budową drogi żelaznej przez Saharę. Gubernator francuskiej Afryki zachodniej wyznaczył znaczniejszą sumę na wyposażenie specjalisty, któryby zbadał możliwość nawodnienia obszarów pustynnych, położonych nad rzekami Senegalem i wyższym Nigrem. Podob-

no nawodnienie tych okolic ma być łatwiejsze do przeprowadzenia, niż to było w Egipcie, ze względu na fakt, że Niger każdego lata przybiera na kilka metrów i zalewa ziemie okoliczne, przez które przepływa. Pod Tossaye jest planowana budowa tamy, w celu nawodnienia przestrzeni pustynnych, leżących pomiędzy Timbuktu i Arawanem, i w ten sposób przygotowania ich pod kulturę rolną.

Granaty ręczne, które — jak wiadomo — były zarzucone w XIX-ym wieku, odegrały podczas wojny rosyjsko-japońskiej poważną rolę i znów są we wszystkich armjach wprowadzone. Także podczas ostatniej wojny bałkańskiej używali z powodzeniem tych pocisków szczególnie serbowie. Granaty ręczne posiadały jednak tę niedogodność, że można ich było używać tylko na niewielką odległość, bo najwprawniejszy żołnierz nie mógł ich dalej rzucić niż na 30 do 35 m. Tej niedogodności zaradzono w Danji przez skonstruowanie specjalnego moździerza do rzucania granatów ręcznych, który waży tylko 10 klg., a więc może być przez jednego żołnierza niesiony, wyrzuca zaś granaty na odległość 300 metrów. Lufa moździerza z cienkiej stali spoczywa na drewnianej lawecie, ma długości 95 cm., kaliber 8.5 cm. Pocisk waży 1 klg. i wyrzucony jest siłą ładunku, który umieszczony jest w komorze, leżącej nie w samej lufie. Gazy spalonego ładunku przedostają się do lufy kilku otworami wyrzucają granat.

NESTLE

Mączka mleczna jest najodpowiedniejszym pokarmem dla niemowląt oraz dla osób dorosłych chorych na żołądek i rekonwalescentów.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

26)

BOHATER.

POWIEŚĆ.

Śmierć zwolniła go z przysięgi...

Księżę Józef ginąc w nurtach Elstery, Bogu odniósł honor polaków.

Cześć bohaterowi! Śmierć jego i dziełatków tysięcy walecznych nie była bezpłodna.

Tak, śmiało twierdzić można, że w tych bojach okropnych ani jedna kropla krwi nie poszła na marne.

Ożywcza potęga tradycji w jednakiej niemal mierze mieści się we wspomnieniu klęsk wojennych, jak najświetniejszych tryumfów, jeżeli wśród klęsk tych nie zachwiała się dobra sława narodu.

Spełnili godnie swój obowiązek do ostatka w obliczu całej Europy. W najtrudniejszych chwilach nie padł cień na dobre imię żołnierza polskiego.

Po strasznych klęskach październikowych roku 1813 pozostała żałoba i ból lecz ani cienia goryczy. Ci, co wynieśli życie z krwawych rozpraw wracali z dumą w domowe pielesze.

Niestety, nie wielu takich było. Pod Lipskiem śmierć kosiła z jakąś wściekłą zjadłością.

Już walki w dniu 18 i 19 października zredukowały korpus księcia Józefa do 2500 ludzi. Na północy generał Dąbrowski miał ich zaledwie 1500.

Dnia 19 wojska polskie zaliczone do arjergardy francuskiej, już po przejściu wielkiej armji za Elstera broniły przedmieść Lipska prawie do wieczora. Wypadło mu zajmować stanowisko w południowej części miasta między Windmühlen — Thor i Müntzthor, odpierając ataki Paskiewicza i Chowańskiego.

Rozpoczął się szereg utarczek chaotycznych, bezładnych, bezplanowych. Wojska ogarnęła furja wzajemnego wytepiania się.

Nie dawano i nie brano pardonu.

Zmagano się na bagnety, na pięści... szarpano zębami.

Ze wszech stron lały się nie przerwane potoki ołowiu z broni ręcznej, to raz w raz, najniespodziewaniej podał pocisk armatni.

W jednej z ciasnych uliczek koło Müntzthor, pod osłoną występów starych domów, kapitan Grabowski z niedobitków swego pułku uformował kolumnę przeciw wdzierającym się od wschodu jegrom z dywizji Paskiewicza.

Ruszył na czele z podniesioną szpadą, kiedy nagle nieprzyjaciół atak swej piechoty poparł ogniem dwóch armat.

Pierwszy pocisk urwał kapitanowi rękę ze szpadą. Odpadła, niby nożem odcięta. Szedł jednak dalej. Wyciągnął rękę lewą w stronę wroga.

Naprzód!

W tem kula karabinowa ugodziła go w czoło.

Padł swoim pod nogi.

Z nastawionym do ataku bagnetem zwarli się z nieprzyjacielem nad jego ciałem. Niebawem przykrył go wał trupów.

Przez chwilę miał jeszcze świadomość tego nieznośnego ciężaru...

.....

Skoro kapitan Grabowski poraz pierwszy obejrzał się przytomnie dokoła siebie, zdało mu się, że zbudzono go nagle ze snu długiego i męczącego.

Raziła go, bijąca przez okna jasność światła. Chciał przysłonić oczy dłonią, ruszył więc prawą ręką, ale dłoni przy niej nie było.

Podniósł do góry nagi kikut i przyglądał mu się ze zdumieniem. Przedramię ucięte poniżej łokcia, zakończone było jakąś odrażającą formą pościąganej skóry.

Wykonał tym bezkształtnym kikutem nieokreślony ruch w powietrzu i doznał niewypowiedziane przykrego uczucia.

Zapadł w zadumę. Przymknął oczy, i starał się przypomnieć sobie zdarzenia. Nie mógł jednak ustalić granicy między tem, co mu się wydało sennem marzeniem a rzeczywistością.

Istotnie coś mu się ciągle marzyło, że stracił rękę, prowadząc żołnierzy do ataku, że potem upadł na bruk ulicy i dusił się pod ciężarem jakichś ciał, walących się na niego bez końca.

Uczucie duszenia się było najokropniejsze. Wypełniało ono całkowicie istotę tego strasznego koszmaru, który prześnił — stanowiło niejako jego treść zasadniczą.

Powracało ustawicznie ze wszystkimi towarzyszącymi mu okolicznościami.

Rzekłbyś dotąd jeszcze ma pełne nozdrza tego mdłego, pobudzającego aż do wymiotów, zapachu krwi zmieszanej z błotem ulicznym...

Bił się i upadł ugodzony kulą w głowę...

Podniósł rękę i zmacał nad czołem mocną, pełną nierówności wklęsłość, która mu wszakże, przy dotyku zbytnio nie dokuczała.

Więc to jest rzeczywistość! Gdzież się zaczynają kosmary?

Co prawda w dniu rozpraw lipskich miał już gorączkę od samego rana. W przeddzień ranny dwukrotnie bagnietem w bok i w udo, w rozgwarze bitwy nie miał możliwości należycie ran opatrzyć. Przewiązał je tylko na razie, ażeby krew zatamować, kawałkiem podartej koszuli, skoro zaś noc zapadła, a ustało na chwilę piekło ognia, wyzerpany do ostateczności, na nic nie bacząc zwał się, gdzie stał, na ziemię i przespał snem kamienym godzin kilka.

W nocy deszcz chlapał bez ustanku. Przed świtem kiedy zagrały trąbki alarmowe, zbudził się dygocąc na całym cieple wstrząsały nim dreszcze tak potężnie, że dzwonił zębami, jak w febrze.

Stary sierżant pułkowy podał mu mianerkę z wódką. Pociągnął haust jeden i drugi.

Zrobiło mu się ciepło. Poczul w sobie, jakąś niezmierną, nieznaną dotąd energję. Staniał się na osłabionych ze znużenia nogach, a zda się, nie pragnął wypoczynku.

Parło go coś do ruchu, do czynu, do walki. Miotła nlm wściekłość straszliwa. Byłby nieprzyjaciół kasał, darł paznogciami.

W głowie mu huczało, a cały świat tańczył przed oczami, jak pijany.

Już wtedy z pewnością był nieprzytomny, już wtedy zacierały się granice między światem rzeczywistym a fantastycznymi zwiđeniami rozgorączkowanej wyobraźni.

Pamięta jak w podnieceniu, pełen egzaltacji perorował przed szeregi o konieczności poświęcenia wszystkiego dla sprawy.

W południe przeszło godzinę stali bezczynnie z bronią na ramieniu pod ulewą krzyżowego ognia działowego.

(d. c. n.)



MARJAN ORLICZ.

7)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

Pnące róż przyjaźnie zaglądały w okna. Żarski schylił się do jej ręki gięstem pełnym szacunku.

— Siądziemy sobie pod gruszką, powiedziała, — to stara przyjaciółka, zaufana, stworzona na konfesjonał. O, bo ja myślę wyciągnąć pana na spowiedź. Muszą z panem zachodzić osobliwsze rzeczy. A wszak mi pan zaufa.

— Nie osobliwego, proszę pani, a gdyby najosobliwsze, pani wie, że bym jej zaufał.

Podążyli na koniec ogrodu warzywnego, gdzie stara grusza, niby dobroczynny parasol, chroniący od deszczu i spiekoty rozpościerała potężne konary.

Pod nią stał stolik, krzesła i foteliki. W tym zakątku jakby poza światem zawar-

tych trybów trosk i niepokojów, Żarski czuł jak mu się rozprężają nerwy, jak kojąco ten słodki spokój przyrody rozlewa mu się w piersi.

Nie zdążyli się jednak usadowić, kiedy od zabudowań doleciał dojmujący krzyk. Pobiegli oboje w kierunku tego krzyku.

Kiedy wpadli do kuchni, uderzył ich osobliwy widok: uwiązany u łóżka dziesięcioletni może chłopak darł się nieludzkim głosem, a kucharka blada, jak upiór, trzęsącymi rękami odkładała go bez pamięci „pytką”, skreconą z ręcznika.

— Co Rozalja wyprawia? — pani Marta zatchnęła się z oburzenia.

— To, na co zasłużył, proszę pani.

— Niech no Rozalja odłoży tego zabijaka i powie mi, co tu było.

— A to, proszę pani, powiada chrypiąc, ja mu mówię jak komu dobremu „niepaprene szapo, reste kuzin”, a ten na mnie wywala ózór do pasa. Chciałam go klepnąć bez ręką, jaż mi mrocзки przeleciały przed oczami. To tak za moją pracę, za mój pot. Pani wie, że ja tylko dla niego pracuję, a ten gałgan...

Ciężkie lzy ciurkiem biegły jej po twarzy.

— Niech no Rozalja odwiąże go od łóżka, już ja się z nim rozprawię. Pan wybaczy, panie Zdzisławie.

Pani Marta zabrała chłopaka do swego pokoju, a Żarski powrócił pod gruszę. Długą chwilę pozostawał sam.

Oparł się o niski płotek i oczami wybiegł przed siebie.

Właściwie nie było na co patrzeć.

Szeroka taśma drogi szła prosto ku wsiołom. Gdzieś tam na złotym od słońca piachu chwiało się kilka badyli, zdała biała para chałupek.

Przed chałupami uwijają się ludzie niby mrówki, to jeden coś przyniesie, to drugi wyniesie...

Chłop na zgiętych plecach przydzwigał coś, jakby wiązkę chrustu, na przyźbie jakiś ruchomy przedmiot: pewno dziecko, albo babka.

Musi gdzieś niedaleko być stojąca woda, bo wyraźnie dochodzi melodyjne rechotanie żab.

Drogą jakiś chłopaczyna wesoło pogwizdując, przepędził stadko owiec.

— Cóż się pan tak zapatrzył na drogę? — mówiła, wracając pani Marta.

— Patrzą jacy ci tam szczęśliwi: pracują to w polu, koło swojego obejścia, a swobodne, zadowolone. Ani przeczulonych nerwów, ani przeanalizowanego mózgu. Jedyne ukochanie — ziemia, jedyna troska — jak obrodzi.

— No przecież i oni mają serce, co czuje, duszę, co nieraz zapłacz...

— Tak, ale życie nie pozwala im na zbytek sztucznych cierpień, sztucznych radości, jakie my sobie stwarzamy. I jakże się pani załatwiła ze swoim sądem Salomona?

— O, to prawdziwa „matka bolesna” z tej mojej Rozalji: opuściła przed sześcioma laty męża pijanicę, który się znęcał nad nią i nad dzieckiem; zabrała ją na służbę do Paryża rodzina polska. Z czteroletnim małżeństwem naturalnie, służyć było niepodobna, więc oddała go na wychowanie do „sióstr” i ot dramat gotów. Chłopak dziś ani słowa po polsku, ona ani w ząb po francuzku, to też nie może jej zrozumieć i ma ją za ba i bardzo. Słyszał pan jej francuzczyznę?

— Ja proszę pani, dotąd dojść nie mogę o co im poszło, nie rozumiałem.

— Nie dziwnego, ja bo już przywykłam do tej jej francuzczyzny „Ne pa prene szapo, reste kuzin” miało znaczyć: nie bierz kapelusza, zostań w kuchni.

Żarski roześmiał się mimowoli.

— To doprawdy byłoby zabawne, gdyby nie było smutne.

— Oj smutne, bardziej niż się wydaje. Wyobraź pan sobie matkę nietęgiego zdrowia, która ręce trafia po łokcie, żeby jedynaczkowi na niczem nie zbywało, a która się z nim porozumieć nie może. Przytem chłopak, zdaje się, ma kiepskie instynkta. Pozwoliłam jej wziąć go tu na wakacje: niech dziecko odetchnie na swobodzie, prosiła, w dobrym powietrzu, i myśli pan, że to pierwsza scena?

„Mais, revenons à nos moutons”. Siadź pan tu bliżej i powiedz mi, co się z panem robi, boć przecież taki nagły wyjazd każe się domyśleć czegoś niezwykłego. Póki nie ma jeszcze nikogo z obcych, możemy pogadać.

— Robi się to proszę pani, że duszę mam jakąś chorą, że gdybym nie wyjechał, wpadłbym napewno w jakąś nerwową chorobę. Ja i tak byłbym do pani przyszedł się wygadać. Pani ma taką przyjacielską,

kojącą rękę. Otóż od dłuższego już czasu bywało mi i smutno i straszno. Kiedym się brał do roboty, ręce mi opadały. Miewałem halucynacje. Widziałem wyraźnie na jawie osoby dawno zmarłe, lub bardzo dalekie. Bałem się doprawdy obłądu. I naraz rozświeciło mi się, że to nostalgia mnie tak dręczy. Cztery lata nie byłem w kraju.

— Nie pogniewa się pan, panie Zdzisławie—zwykły jej miły młodzieńczy uśmiech rozjaśnił twarz, okoloną siwiejącymi blond loczkami,—jeśli się wypowiem szczerze?

— Skądże? Nie tylko się nie pogniewam, ale proszę o to usilnie. Tak mi potrzeba szczerzego, przyjacielskiego słowa. Nie powiem, żebym w Paryżu nie miał przyjaciół, ale to po większej części pustogłowy o dobrym sercu, kiedy tu znajdę i rozum i serce.

— Otóż podług mnie, ten nagły wyjazd, to szaleństwo. Nie wyjeżdża się tak nagle, kiedy się już wcale nieźle siedzi w siodle. Nostalgja, no tak. Ale bierze się proszek bromu, bo to u pana wszystko nerwowe, jak zresztą u każdego z nas, i usiłuje przejechać.

— Nie mogę, niech mi pani wierzy, że nie mogę. Rzucać Paryż, to dla mnie takie rozdarcie...

— No, to tembardziej. Ale, pomijając sentyment, tu w Paryżu bardziej niż gdziekolwiek „qui va à la chasse, perd sa place”, a potem ciężko zaczynać znów od początku.

— Wszystko to prawda, ale w każdym razie, „tel que”, jestem do niczego. Byłe co mi z nóg zwała. Niech sobie pani wyobrazi: wczoraj idę bulwarem Arago w stronę ulicy Saint Jacques, patrzę... pędzą konie do abattoirów na rzeź. Nawiasem mówiąc, miewam ten widok prawie co dnia. Biedne, wychudzone szkapiska, spracowane, ledwo nogi stawiały. Jednego z nich, nie mogącego widać już kopytami powlóczyć, wieziono jak tryumfatora na wozie. Sierć miał starannie wyszczotkowaną, lśniącą. „Ostatnia tulaeta, pomyślałem, na jedyne w życiu święto”. No i co pani powie na to, że naraz robi mi się tak słabo, że się ledwo do wlec mogę do ławki.

— Jabyśmy myślała, żeby się pan przedewszystkiem poradził doktora.

— Nie, proszę pani, czuję, że jak tylko stąpnę na naszą ziemię, ozdrowieję.

— Oj, zarzucacie kobietom brak równowagi, kaprys, a tymczasem sami nieraz bie-

gniecie za pierwszym lepszym popędem, jak najkapryśniejsza kobieta. W panu wogóle zauważyłam wiele pierwiastku kobiecego.

— Ja sam o tem wiem, niestety. Tak jak bywają kobiety-mężczyźni, tak ze mnie mężczyzna-kobieta. W pospolitem narzeczu nazywa się to mazgajem. Ale jak wszędzie, tak i u mnie jest to jednym z ogniów łańcucha przyczyn i skutków: ojca straciłem w najwcześniejszym dzieciństwie. Nie mając brata, wychowany przez matkę, w ciągłym otoczeniu ciotek, babek, kuzynek, coś dziwnego, żem zbabiał.

— To też taki romantyk może łatwo stracić drogę. Lękam się, żeby ten nasz wrodzony słowiański sentymentalizm na tle pańskiej, prawdziwie artystycznej niepraktyczności, nie wypłatał panu w życiu figla. A potem jeszcze jedno mnie niepokoi; jeśli pan spotka... ją...

— A niech ręka pańska broni! pogmatwałoby mi to życie.

— I nie tylko panu.

— O, jej chyba zupełnie nie. Zapomniała zapewne o mojej egzystencji. Pani, bogaczka.

— Jak wy mało, moi panowie, znacie psychę kobiecą... A jeśli pani bogaczka nie znalazła w małżeństwie szczęścia?

— Zresztą, niema obawy: nie spotkamy się prawdopodobnie nigdy.

— Co też pan mówi w Warszawie? Toż to nie Paryż, gdzie się ludzie latami mogą nie spotkać. Wie pan, to wszystko robi wrażenie, jak gdyby pan na gwałt chciał się sam okłamać, jakgdyby pan pragnął spotkać ją „coûte que coûte”.

— Jeśli mam prawdę wyznać, to dusza mi się łamie w takich sprzecznościach, że nie wiem gdzie się kończy prawda, a gdzie się zaczyna fałsz... To tylko czuję, że tam raz już hyba rozplączę węzeł.

— Niech że pan przynajmniej na pomoc sercu weźmie rozsądek.

— Droga pani, coś zrobię, kiedy mi do cna zeszedł jakoś na psy.

Z pociągu nadeszło kilka osób; rozmowa się uogólniła z konieczności.

(d. c. n.)



Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

Głęboka miłość, łącząca oboje, a która wytrzymała pięcioletnią próbę ogniową małżeństwa, budziła dla nich w towarzystwie podziw i sympatię. Piękną parę lubiano, szanowano. Szczerze lubiano Julusza i jego żonę — może dlatego, że niema dla widza nic miłszego nad widok ludzi szczęśliwych. Lecz oni nigdy nie przebywali długo w salonach i uciekali z nich chętnie do swego gniazda, niczem para gruchających gołąbków. Gniazdko to stanowił zresztą piękny i obszerny pałac przy ulicy Ménars, w którym dobry smak łagodził przepych, stanowiący swego rodzaju tradycję w sferze finansjery. W pałacu tym małżeństwo dawało świetne przyjęcia, choć obowiązki światowe ciążyły im. Jednak Julusz podtrzymywał stosunki z ludźmi swej sfery, wiedząc, że zawsze — wcześniej czy później — stosunki te są korzystne, a nawet niezbędne; lecz czuli się w towarzystwie, niby kwiaty cieplarniane wśród burzy. Julusz starannie ukrył przed żoną zarówno wieść o rzuconem na nich oszczerstwie, jak też o śmierci oszczercy, który o mało co nie zmacił ich szczęścia. Pani Juluszowa, osoba pełna artyzmu i wytworności, lubiła bardzo przepych. To też pomimo straszliwej historii z pojedynkiem, niektóre kobiety szeptały po kątach, że pani Juluszowej często musiało brakować pieniędzy. Dwadzieścia tysięcy franków rocznie, które dawał jej mąż na tualety i zaspokojenie różnych kosztownych zachcianek, według obliczeń tych pań, nie mogły jej wystarszyć. Tembardziej, że w domu widywano ją bardziej jeszcze wystrojoną, niż na balach. Najchętniej bowiem stroiła się dla męża, chcąc mu dowiedzieć w ten sposób, że stanowił dla niej znacznie więcej, niż cały świat razem wzięty. Bo miłość jej była prawdziwa, czysta i szczęśliwa.

To też Julusz, wciąż równie kochający, a nawet z dniem każdym bardziej rozkochany, czuł się szczęśliwym obok żony, przepadał nawet za jej kaprysami i był nawet niespokojny, jeśli nie miała żadnych kaprysów, jakgdyby był to symptomat choroby. August de Maulincour miał nieszczęście natknąć się na tę miłość i zakochać się w tej kobiecie do utraty rozsądku. Ale, choć nosił w sercu tę potężną miłość starał się nie być śmiesznym. Poddawał się wszystkim wymogom obyczajowym stanu wojskowego: flirtował, pił, pojedynkował się. Ale nigdy, nawet gdy spijał kielich szampana, nie opuszczała go zaduma, pogarda dla życia, mglisty wygląd, właściwy w różnym stopniu ludziom zbłązanym, niezadowolonym z pustki życia, lub ludziom, którzy uważają się za suchotników albo chorych na serce. Kochać bez wzajemności i nadziei, być zniechęconym do życia — jest to

w czasach dzisiejszych swojego rodzaju zajęcie. A ponieważ łatwiej jest zdobyć serce monarchini, niż kobiety szczęśliwej, — August miał dostateczny powód, by być poważnym, a nawet ponurym. Królowa posiada swą czułą strunę: próżność i żądzę podboju; ale pobożna mieszcanka jest jako jeź lub ostrzyga pod swym twardym pancerzem.

W chwili obecnej młody oficer znajdował się obok ubóstwianej, która z pewnością nie domyślała się, że jest podwójnie niewierną. Pani Juluszowa siedziała spokojnie na kanapie, w pozie, nie mającej w sobie nic sztucznego, pogodna i majestatyczna. Dusza ludzka stanowi niezmierzoną przepaść.

Baron, nim wszczął rozmowę, spojrzał kolejno na żonę i męża. Ile myśli przemknęło mu przez głowę! Tymczasem w apartamentach rozległy się dźwięki muzyki; tysiące jarzących świec rzuciły jaskrawe światło, jak przystało na balu bankierskim, uroczystości, którą świat świeżo pozłacany rzucał, jako wyzwanie światu, noszącemu pozłotę od wieków a bawiącemu się w swych salonach na przedmieściu St. Germain, nie myśląc o tem, że wkrótce już bankier owładnie krajem i siądzie na tronie. Przyszli spiskowcy, bawili się i tańczyli ochoczo, nie przewidując ani blizkiego bankructwa władzy arystokratycznej, ani przyszłych bankructw banków. Kapiące złotem salony pana barona de Nucingen posiadały to specjalne ożywienie, które światek paryski — tak wesoły, przynajmniej na pozór — nadaje zabawom. Tu ludzie utalentowani udzielają swego dowcipu głupcom, a głupcy wzamian udzielają tamtym nieco tego wyrazu zadowolenia, który ich cechuje. Dzięki tej wymianie wszystko ożywia się. Lecz zabawa paryska zawsze przypomina nieco bengalskie ognie i fajerwerki, dowcip, kokieterja, wesołość błyszczy, by zgasnąć za chwilę. Nazajutrz nikt nie pamięta swego dowcipu, swej kokieterji, swego wesela.

— A więc — rzekł do siebie August, kończąc długi cykl rozmyślań, — kobiety są takie, za jakie uważa je wice-hrabia? Z pewnością wszystkie kobiety, które tańczą tutaj, robią wrażenie mniej świętych od pani Juluszowej, a tymczasem pani Juluszowa chadza na ulicę Soly.

Ulica Soly stała się jego chorobą; sama nazwa budziła wściekłość w jego sercu.

— Czy pani nigdy nie tańczy? — spytał ją.

— Już poraz trzeci tej zimy zadaje pan to samo pytanie, — odparła, uśmiechając się.

— Bo pani nie raczyła mi ani razu odpowiedzieć.

— To prawda.

— Wiedziałem zawsze, że pani jest przewrotna i skryta, jak wszystkie kobiety...

Pani Juluszowa roześmiała się.

— Bo gdybym powiedziała panu istotny powód, wydałabym się śmieszną. A sędzę, że niema ani cienia przewrotności w tem, że nie wydaje się sekretów, z których ludzie się śmieją.

— Każdy sekret wymaga przyjaźni, której ja, szanowna pani, nie jestem zapewne godzien. Ale tajemnice pani posiadają niewątpliwie pod-

kład szlachetny. Czyżby pani uważała mnie za zdolnego do wyśmiewania rzeczy godnych szacunku i podziwu?

— Pan, jak wszyscy mężczyźni, śmieje się z naszych najczystszych uczuć i oczernia nas w myślach. Zresztą to nie jest żadna tajemnica. Mam chyba prawo wyznać przed całym światem, że kocham mego męża. Jestem z tego dumna i jeśli będzie się pan ze mnie śmiał, usłyszawszy, że tańczę tylko z nim, posiadam jak najgorszą opinię o pańskim sercu.

— Rzeczywiście, od dnia zamażpójścia nie tańczyła pani z nikim, prócz męża?

— Z nikim, łaskawy panie. Jego ramię jest jedynym, na którym opieram się i nigdy nie zniósłabym dotknięcia żadnego innego mężczyzny.

— Więc nigdy lekarz nie wziął pani za puls?

— Oho, już pan zaczyna drwić.

— Ależ przenigdy, szanowna pani. Jestem zachwycony i pojmuję panią jaknajlepiej. Ale pozwala pani słuchać swego głosu, patrzeć na siebie, pozwala pani naszym oczom podziwiać cię...

— Tak, i to mnie smuci, — przerwała. — Chciałabym żyć z mym mężem zdaleka od świata, jak kochanka z kochankiem, gdyż wówczas...

— Tem mocniej dziwię się, że była pani pieszko i w przebraniu przy ulicy Soly?

— Cóż to za ulica Soly? — spytała.

I jej czysty głos nie zdradził niczem wzruszenia i żaden rys twarzy nie drgnął, nie zachwieniał się i zachowała spokój.

— Jakto! Nie była pani na drugim piętrze domu, znajdującego się na rogu ulicy Soly i ulicy Augustynów? Nie kazała pani dorożce czekać o parę kroków dalej i nie wróciła pani na ulicę Richelieu do kwiaciarki, gdzie wybrała pani te same kwiaty, które widzę w tej chwili na pani głowie?

— Nie wychodziłam wcale z domu wieczorem.

Kłamiąc tak, była spokojna i uśmiechnięta, lecz ktoby dotknął jej piersi, odczułby szalone bicie jej serca. W tej chwili August przypomniał sobie nauki wicehrabiego.

— W takim razie był to ktoś bardzo podobny do pani, — rzekł, udając, że jej wierzy.

— Panie szanowny, — odparła, — jeśli jest pan istotnie zdolny śledzić kobietę i podpatrywać jej tajemnice — doprawdy, nie przynosi to panu zaszczytu. I nie mogę w to uwierzyć.

Baron oddalił się i, stanawszy przy kominku, pograżył się w myślach. Pochylił głowę, lecz oczy jego skrycie przypatrywały się pani Juljuszowej, która, nie zdając sobie sprawy z tego, że lustro odbija jej postać, rzuciła na Augusta kilkakrotnie wzrok pełen przerażenia. Potem dała znak ręką mężowi, ujęła go pod ramię, aby przejść się z nim po salonie. Gdy przechodziła koło barona, który rozmawiał z jakimś przyjacielem, usłyszała rzucony głośno, niby to w odpowiedzi na zapytanie frazes:

— Ta kobieta nie będzie spokojnie spała tej nocy...

Pani Juljuszowa zatrzymała się na мгніе, obrzuciła go wyniosłym spojrzeniem, pełnym pogardy i szła dalej, nie myśląc o tem, że gdyby mąż jej dostrzegł to spojrzenie, jej spokój oraz życie dwóch ludzi byłoby narażone na poważne niebezpieczeństwo. August, ukrywając w głębi serca piekielną wściekłość, wkrótce wyszedł, przysięgając, że przeniknie za wszelką cenę tę tajemnicę. Nim wyszedł, udał się na poszukiwania pani Juljuszowej, chcąc ujrzeć ją raz jeszcze, ale młoda kobieta już znikła. Niela da dramat rozgrywał się w tej młodej duszy, nawskroś romantycznej, jak wogóle u ludzi, którzy nie zaznali w pełni wrażeń miłości.

Kochał już panią Juljuszową inaczej, kochał ją uczuciem, w którym poważną rolę odgrywała wściekłość zazdrości i staszliwe męki nadziei. Jeśli pani Juljuszowa nie była wierną mężowi — stawała się w oczach barona kobietą przeciętną. W takim razie mógł mieć nadzieję zdobycia jej, zaznania rozkoszy szczęśliwej miłości. Jeśli więc utracił anioła, to pozyskiwał wzamian rozkosznego demona. Położył się spać, budując zamki na lodzie, usprawiedliwiając panią Juljuszową, przypuszczając jakieś romantyczne dobrodziejstwo z jej strony. Potem postanowił poświęcić się do następnego dnia rozwiązaniu węzła tej intrygi. Zapowiadał się ciekawy romans a raczej dramat, w którym jemu przypadała w udziale jedna z głównych ról.

Rzemiosło szpiega jest rzeczą piękną, gdy uprawia się je dla siebie, na rzecz swej namiętności. Czyż nie daje ono rozkoszy złodzieja, pozwalając jednocześnie zostać człowiekiem uczciwym? Lecz trzeba być przygotowanym na to, że będzie się marzło na mrozie, mokoło na deszczu, piekło na słońcu. Trzeba po tysiąc razy odszukiwać zgubioną nić, klnąć, improwizować na swój własny użytek elegje i dramaty, przewracać pocziwe kobiety i ich koszyki, biegać, odpoczywać, wystawać godzinami przed oknem, tworzyć tysiące przypuszczeń... Ale jest to polowanie w gąszczu paryskim, choć bez psów i bez strzelby. Tylko życie graczy można porównać z tem życiem. Doprawdy, trzeba serca przepojonego silnie miłością i żądzą zemsty, aby w Paryżu czaić się, niczem tygrys, nim rzuci się na swą ofiarę.

August de Maulincour rzucił się w ten wir z lubością, choć przeczuwał wszystkie jego dole i niedole. W przebraniu wałęsał się po Paryżu, czatował na wszystkich rogach ulicy Pagerin lub ulicy Augustynów. Pędził z ulicy Soly na ulicę Ménars i z ulicy Ménars na ulicę Soly, nie zaznawszy rozkoszy zemsty, nie wiedząc nawet, jakiej nagrody lub kary doczeka się za tyle mokołów, biegania, podstępów. Lecz nie znajdował się jeszcze w stadium tej niecierpliwości, która szarpie trzewiami i pali jak ogień; wałęsał się jeszcze z nadzieją w sercu, myśląc, że pani Juljuszowa w ciągu pierwszych paru dni po rozmowie nie odważy się wrócić na ulicę, na której ją spotkał przed balem. To też pierwsze parę dni poświęcił zapoznaniu się ze szczegółami życia tej ulicy. Jako nowicjusz w zawodzie szpiega, nie śmiał wypytwać por-

tjera, ani szewca, mającego sklep w domu od-
wiedzonym przez panią Juljuszową; lecz zamie-
rzał urządzić sobie obserwatorium w domu, znaj-
dującym się naprzeciwko tajemniczego mieszka-
nia. Badał grunt, chcąc pogodzić ostrożność
z niecierpliwością, swą miłość z tajemnicą.

W pierwszych dniach marca, w trakcie wy-
konywania tych planów, w chwili gdy obmyślał
jakiś stanowczy krok, zdarzyło mu się wracać
do domu koło godziny czwartej, kiedy nagle
począł padać rzęsyty deszcz. Był to jeden z tych
deszczów wiosennych, od których w ciągu kilku
minut pęcznieją rynsztoki i kanały a ulice po-
krywają się strumieniami wody. W takiej chwili
biedny piechur, o ile ma pieniądze, ukrywa się
w kawiarni; jeśli ich niema — chowa się pod
bramę pierwszego lepszego domu.

Baron de Maulincour, choć zaopatrzony
w pieniądze dość obficie, wolał jednak schronić
się wraz z gromadą innych Paryżan pod bramę
starego domu, którego podwórze przypominało
komin, tak dalece mury jego pokryte były sa-
dzą. Ze wszystkich stron ściekała woda, goto-
wała się, warczała, mruczała; a była czarna,
biała, niebieska, zielona; świszczła ona pod
miotłą starej, bezzębnej stróżki, która wymia-
tała wodę wraz z tysiącami odpadków, których
inwentarz zdradzał życie i obyczaje mieszkań-
ców domu. Były to wycinki z gazet, liście her-
baty, łodygi sztucznych kwiatów, obierzyny z ja-
rzyn, kawałki papieru, opłuki metalowe. Nie-
szczęsny kochanek spoglądał na ten obraz, lecz,
pogrążony w zadumie, nie widział go. Wtem,
podniósłszy głowę, ujrzał na przeciw siebie dziw-
ną postać.

Człowiek ten miał wygląd żebraka, lecz nie
żebraka paryskiego, tej dziwacznej i nie dającej
się określić istoty. Nie, osobnik nasz stanowił
odmienny typ żebraka. Nieznajomy nie posiadał
tego nawskroś paryskiego charakteru, który znaj-
dujemy zwykle w żebrakach paryskich, w tych
postaciach o ordynarnych, unurzanych w błocie
twarzach, o głosach ochrypych, nosach czerw-
nych i krostowatych, ustach bezzębnych, a je-
dnak groźnych, w tych postaciach jednocześnie
pokornych i strasznych, u których błyszcząca
w oczach głęboka inteligencja wydaje się nam
zwierzęcą chytrą. Niektórzy z takich bez-
czelnych włóczęgów mają twarze pomarszczone,
czoła niskie, poorane zmarszczkami, włosy brud-
ne i rzadkie, podobne do wyrzuconej na śmiet-
nik peruki. Mimo swego poniżenia, pełni są oni
humoru, oddają się najniższemu rodzajowi we-
sela i zdają się nosić na twarzach pieczęć roz-
pusty, milczenie ich robi wrażenie wyrzutu
a postawa zdradza najpotworniejsze myśli.

(d. c. n.)



Rinconete i Cortadillo.

Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław Milner.

Gananciosa wzięła ją za rękę i poczęła po-
cieszać, mówiąc, że najcenniejsze ze swych
klejnotów oddałaby za to, aby i jej się coś po-
dobnego wydarzyło z jej kochankiem.

— Trzeba ci bowiem wiedzieć, — rzekła, —
Cariharto, siostró miła, że kto się lubi, ten się
ezubi i kiedy ci złodzieje nas gnębią, biją i ko-
pią, wtenczas dopiero prawdziwie nas ubóstwia-
ją; a powiedzże tak z ręką na sercu: gdy Re-
polido dobrze ci zbił i wylał, czy nie probo-
wał przebłagać cię jaką pieszczotą?

— Tysiąc pieszczot próbował, — odparła,
we łzach cała, zapytana, — byłby dał palec so-
bie uciąć, abym tylko zgodziła się iść z nim
do domu, a nawet zdaje mi się, że miał łzy
w oczach, gdy odchodził.

— Nie dziwota to, — rzekła Gananciosa, —
płakał pewno, widząc w jakim zostawia cię sta-
nie, gdyż ci ludzie w podobnych wypadkach,
ledwo ochłona od gniewu, już żalują swęj winy.
Przekonasz się, siostró moja, że zanim stąd wy-
dziemy, sam do ciebie przyjdzie, pokorny jak
jagnię i błagać cię będzie o przebaczenie.

— Zaprawdę, — zawołał Monipodio, — ten
szubienicznik nie przestąpi naszego progu, do-
póki publicznie nie upokorzy się za swój postę-
pek! I pomyśleć, że łajdak śmiał podnieść rękę
na Carihartę, która czystością obyczajów i za-
biegliwością swą równie prawie słynie jak nasza
Gananciosa, a tej chyba żadna jeszcze nie prze-
ścięgnęła.

Tu wtrąciła Julja:

— O, proszę, Mości Monipodio, niechże
Wmość źle się mówi o tym przeklętym niepo-
niu, bo mimo wszystko, kocham go i strzegę
jak oka w głowie, a to co Gananciosa powie-
działa w jego obronie, wystarczyło mi rozum
przywrócić. Prawdziwie, mam ochotę iść po
niego.

— Tego, radzę ci, nie czyn, — rzekła Ga-
nanciosa, — gdyż wbije się w pychę i na przy-
szłość będzie pomiatał tobą, jak ścierką. Uspokój
się raczej, siostró miła, bo przekonasz się wkrót-
ce, że sam do ciebie przyjdzie pokorny i skru-
szony, a jeśli nie, napiszemy mu wierszem taki
liścik, że ciężko mu się zrobi na sercu.

— Na to zgoda, — odparła Cariharta, —
gdyż tysiąc rzeczy mam mu do napisania.

Ja, — rzekł Monipodio, — będę sekretarzem,
jeśli okaże się tego potrzeba; a choć wcale nie
jestem poetą, jednak, jeśli człowiek zechce za-
dać sobie nieco trudu, zdoła skleić jako tako
i dwa tysiące zwrotek; zresztą, jeśli mi się to
nie uda, mam ja pewnego przyjaciela, cyrulika,
który jest wielkim poetą i w każdej chwili go-
tów nam dopełnić brakujących do rytmu sylab;
my zaś skończmy zaczęte śniadanie zanim za-
bierzemy się do dzieła.

Julja bez trudu usłuchała rady swego zwierzchnika i wszyscy powrócili do przerwane-
go *gaudeamus* z takim zapalem, że wkrótce
ukazało się dno kosza, a z łagwi ostatnią wy-
ciśnięto kroplę. Starzy pili *sine fine*, mło-
dzi — obficie, a niewiastom wypadło dopełnić
miary owej litanji. Następnie Monipodio, na ich
własne żądanie, pozwolił starcom opuścić towa-
rzystwo, poleciwszy im, aby skrzętnie zbierali
wszelkie wiadomości, któreby okazały się uży-
teczne gminie. Odpowiedzieli, że wszystkich
dolożą starań, aby nie zdradzić pokładanego
w nich zaufania i odeszli. Rinconete, który
z natury był ciekawy, przeprosiwszy za swą
śmiałość, zapytał Monipodia, jakaby rolę grać
mogły te dwa osobniki, tak siwe, powagi pełne
i czeigodne. Odparł mu na to zapytany, że
owych starców w mowie złodziejskiej zwą szer-
szeniami, a zajęcie ich na tem polega, że przez
dzień cały chodzą po mieście i zawiadamiają
towarzyszy do jakich domów można nocą iść
na połów. Prócz tego obowiązkiem ich było
chodzić śladem urzędników, którzy wynosili pie-
niądze z mennicy, aby przekonać się kędy je
zaniosą i w jakim miejscu ukryją; wywiedziaw-
szy się o tem wszystkim, wracali do domu
gdzie pieniądze złożono i mierzyli grubość mu-
rów szukając którędy najłatwiej będzie się wła-
mac. Monipodio dodał, że byli to ludzie dla
bractwa niezmiernie cenni i że ze wszystkiego,
co dzięki im kradziono, dostawali dwudziesty
procent, podobnie jak piątą część skarbu Naro-
dowego przypadała w udziale Najjaśniejszemu
Panu. Rzekł wreszcie, że ludzie ci byli wielce
uczciwi, szanowani, dbali o swą dobrą sławę,
sumienni i bogobojni, że codzień słuchali mszy
świętej i modlili się z przedziwnem nabożeń-
stwem.

— Niektórzy z nich, — dodał, — a zwłaszcza
ci dwaj, którzy wyszli stąd przed chwilą, zada-
walniają się wynagrodzeniem znacznie niższem
od tego, które się im według naszych obliczeń
należy. Mamy innych dwóch, którzy są traga-
rzami i ze względu na swe rzemiosło chodzą
często po przeróżnych domach, znają wszelkie
wejścia i drogi do odwrotu i wiedzą, które
z nich są dobre, które zdradliwe.

— Wszystko to, istne skarby, — rzekł Rin-
conete, — i pragnąłbym gorąco przydać się na
coś tak świetnemu bractwu.

— Niebo dobrym chęciom zawsze sprzyja, —
odparł mu na to Monipodio.

— Gdy tak gawędzili o tych i innych rze-
czach, zapukano do drzwi. Podniósł się Moni-
podio, aby zapytać się kto idzie i odpowiedziano
mu z progu:

— Proszę otworzyć, mości Monipodio, to
ja, Repolido.

Cariharta, usłyszawszy te słowa, podniosła
głos do nieba, wołając:

— Proszę nie otwierać, mości Monipodio,
nie otwierać temu ludożercy, temu Herodowi,
temu Okieńskiemu tygrysowi*).

Nie przeszkodziło to jednak hersztowi ban-
dy wpuścić nowoprzybyłego; lecz Cariharta, wi-
dząc, że drzwi otwarte, zerwała się na nogi,
wpadła do izby, gdzie znajdował się oręż i stam-
tąd, zamknawszy drzwi za sobą, poczęła wołać
wielkim głosem:

— Niech go nie widzę na oczy, tego próż-
niaka, tego kata niewiniątek, tego tępicieła go-
łębi domowych!

Maniferrro i Chigniznaque starali się tym-
czasem przytrzymać Repolida, który gwałtem
chciał wejść do izby, gdzie znajdowała się Ca-
riharta. Lecz, nie mogąc kroku naprzód posta-
wić, przez drzwi wołał do niej:

— Dosyć już, dosyć, złośnico! Uspokój się,
serce moje, abys tak wyszła zamaż w tym
roku!

— Ja, zamaż? — odparła Cariharta, — patrz-
cież go, jaki chytry; chciałbyś ty mnie pojąć za
żonę, ale raczej za pokrajanego trupa wyjde,
niż za ciebie!

— Cicho, głupia, — rzekł Repolido, — dosyć
tego, skończmy swary, bo już późno; a uważaj
abym nie stracił cierpliwości, bo choć jestem spo-
kojny i pokorny, jeśli się znowu rozłoszczę, ży-
wie Bóg! gorzej będzie teraz, niż dziś rano. To
też, radzę ci, przeprosmy się i nie wywołujmy
wilka z lasu.

(d. n. c.)

*) Niesposób oddać w polskim przekładzie
wszystkich przezwisk, jakimi Cariharta darzy swe-
go ciemięzcę. Komizm niektórych polega na prze-
kręcaniu całych ustępów z powszechnie znanych
w Hiszpanji pieśni ludowych. Tak naprz. Cariharta
nazywa Repolida: „este marinero de Tarpeya“ (ten
marynarz z Tarpei). Są to śmiesznie skoszlawione
pierwsze słowa słynnego wiersza z Romancera:

Mira Nero de Tarpeya
A Roma como se ardia.
(Patrzy Neron z Tarpei
Na Rzym, jak się zarzy).

przyp. tłum.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ 7.— „ 3.50 „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ 10.— „ 5.— „ 2.50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k.
Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“.

Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Głiszczyńska
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.